

WŁADYSŁAW SEMKOWICZ

UWAGI O POCZĄTKACH
DOKUMENTU POLSKIEGO

Kolekcja
Emila Kornasia

LWÓW
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1935

WŁADYSŁAW SEMKOWICZ

UWAGI O POCZĄTKACH DOKUMENTU POLSKIEGO

**Kolekcja
Emila Kornasia**

LWÓW

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH

1935

WŁADYSŁAW SEMBROWICZ



DOKUMENTU POLSKIEGO
UWAGI O ILOŚCIACH

CM WEX 330478

ODBITKA Z „KWARTALNIKA HISTORYCZNEGO“ R. XLIX. — Z. 1—2.

Kolekcja
L. Maria Korwin

311/85

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 256 h. 04 / 201 /

Uwagi o początkach dokumentu polskiego ¹⁾

Od czasu ukazania się w r. 1891 „Studjów nad dokumentami polskimi XII w.“ Wojciecha Kętrzyńskiego, pierwszej u nas pracy, torującej dopiero ścieżki na polu dyplomatyki polskiej, książka, napisana przez syna tego znakomitego historyka, jest nową, na znacznie szerszej podstawie chronologicznej i rzeczowej opartą próbą ujęcia wiedzy o dokumencie polskim średniowiecznym. Już same rozmiary tej książki, zakrojonej na dwa spore tomy po kilkaset stron druku, świadczą o wspaniałej rozbudowie dyplomatyki polskiej w ciągu ubiegłych lat 44. Oczywiście okres niemal półwiekowy, dzielący te prace a przypadający na dobę świetnego rozkwitu historjografji naszej, sprawił, że o co nie śmiał jeszcze pokusić się ojciec, tego mógł już dokonać syn, wieńczący dziś — prowizorycznym przynajmniej dachem — gmach wiedzy o dokumencie polskim, gmach, przy którego budowie wśród wielu pracowników on sam *magna pars fuit*.

Pomimo bowiem dość licznych prac specjalnych z zakresu dziejów dokumentu polskiego wieków średnich, których zestawienie w liczbie niemal 200 ważniejszych podaje autor przy końcu tego tomu, konstrukcja całokształtu nauki o dokumencie polskim wymagała jeszcze gruntownych badań uzupełniających, aby zapełnić większe luki, sprostować błędy poprzedników, rozszerzyć wreszcie zakres zainteresowań dawniejszych do ram, wymaganych rozwojem tej nauki zagranicą. W tem też tkwi główna zasługa autora, że nie poprzestał tylko na sementowaniu wyników dotychczasowych badań, ale przebił się

¹⁾ Z powodu książki Stanisława Kętrzyńskiego: „Zarys nauki o dokumencie polskim wieków średnich“ T. I. Warszawa 1934, str. VII+480. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego.

sam przez gęstwę źródeł dyplomatycznych ¹⁾, aby wytworzyć sobie samodzielny, własny pogląd na szereg zagadnień, związanych z rozwojem dokumentu polskiego.

Pomimo wszystko pozostał jeszcze cały szereg kwestyj, nieporuszonych dotąd w literaturze a wymagających szczegółowych badań, których autor nie mógł już sam przedsięwziąć, nietylko z powodu warunków osobistych, wśród jakich pracował, ale przede wszystkim z powodu ogromnego rozproszenia oryginalnego materiału źródłowego po setkach zbiorów. Cały też szereg zagadnień, dotyczących zwłaszcza rozwoju kancelarii, kwestji falsyfikatów i t. p., których często bez autopsji oryginału lub przynajmniej fotografii rozstrzygnąć się nie da, odłożył autor do drugiego tomu, którego opracowanie wymagać będzie niewątpliwie uwzględnienia bogatego zbioru fotograficznego, założonego ongiś przez Stan. Krzyżanowskiego w Gabinetie nauk pomocniczych historii U. J., później wedle możliwości uzupełnianego. Z powodu wspomnianych luk w specjalnej literaturze przedmiotu oraz trudności przeprowadzenia własnych badań musiał autor nad niejednym zagadnieniem, które nasuwało się w toku pracy, przejść do porządku lub poprzestać tylko na prostym wyrozumowaniu wniosku bez sięgania do samego materiału źródłowego. Stąd też wynikła pewna dysproporcja w przedstawieniu poszczególnych zagadnień a nawet niekiedy brak symetrii między poszczególnymi częściami książki, z czego autor dobrze zdawał sobie sprawę, pozostawiając następnym badaniom dopełnianie luk i usuwanie braków, które z natury rzeczy musiała posiadać ta książka jako pierwsza tego rodzaju próba syntetycznego ujęcia dyplomatyki polskiej.

Dobrze jednak zrobił prof. Kętrzyński, że nie zawahał się wydać swego „Zarysu“ chociaż w tym, jeszcze niezupełnie wykończonym kształcie. Był zaś do tego powołany, jak nikt inny dziś w Polsce. W szeregu cennych studjów monograficznych badał dyplomatykę polską etapami, w epokach dla jej rozwoju najważniejszych: w poł. w. XIII, kiedy poczyną się kształtować kancelarja książęca, za Kazimierza Wielkiego, kiedy ta dyplomatyka i kancelarja, dzięki mocarstwowemu

¹⁾ Zauważyliśmy jedynie niezupełne może wyczerpanie materiału dyplomatycznego ze Śląska i zwłaszcza z Pomorza, który jednak należało wciągnąć w zakres dyplomatyki polskiej.

programowi i stanowisku tego króla, dźwiga się na wysoki, europejski stopień doskonałości, wreszcie w poł. w. XV, kiedy rozbudowana kancelarja jagiellońska stwarza sobie aparat już dobrze zorganizowanej pracy w postaci Metryki Koronnej. Jeśli do tego dodamy szereg wnikliwych studjów, poruszających czyto zagadnienia datacji czy sporne kwestje z zakresu sfragistyki królewskiej z przełomu XIII/XIV w., jeśli uwzględnimy znakomity referat autora przedstawiony na V Zjeździe historyków polskich w Warszawie 1930 r. o „Stanie nauk pomocniczych historii i ich potrzebach“, starczy to najzupełniej jako pierwszorzędna legitymacja do napisania brakującej dotąd a tak potrzebnej książki, która daje w szerokich rzutach pogląd na rozwój polskiego dokumentu i na cały szereg zagadnień z nim związanych.

Z trudnego zadania swego wywiązał się autor pod każdym względem doskonale. Rzecz pozornie sucha napisana jest żywo, językiem gładkim, stylem prostym a potoczystym. Miejscami tylko razić może pewna rozwlekłość, tam zwłaszcza, gdzie przydługie ustępy nie są należycie rozczłonkowane, obejmując niekiedy po parę stron bez żadnego odstęp¹⁾; można też było uniknąć tu i ówdzie powtarzania tych samych spraw²⁾, co wszystko pozwoliłoby zapewne przejrzysiej i zwięźlej ująć całość a nawet zmniejszyć rozmiary książki, z lepszym zato zachowaniem symetrii poszczególnych części. Są to jednak nieuchronne niemal ułomności tak obszernego dzieła, które tworzyło się przez lat wiele, ułomności, które ustąpić muszą wobec bogactwa treści, wagi osiągniętych wyników i umiejętności ujęcia skomplikowanych niejednokrotnie problemów, częściowo dotąd w nauce naszej zgoła nie poruszanych, w wykładzie nógół jasnym, nieprzeładowanym zbytnio drobiazgowymi uwagami i polemikami, które autor starał się usunąć ile możności do przypisów, urastających niekiedy do rozmiarów obszerniejszych rozprawek.

W uwagach poniższych nie mam zamiaru rozbierać całego dzieła prof. K., lecz pragnę ograniczyć się tylko do krytycznego omówienia tych partyj przedmiotu, które są mi lepiej znane, więc przedewszystkiem początków dokumentu polskiego

¹⁾ Por. np. str. 328—333, 390—395 i t. d.

²⁾ Por. np. str. 96 i 123, 117 i 121, 173 i 188, 192 i 197, 272/3 i 323 i in.

do końca w. XIII. W kwestjach, dotyczących dwóch dalszych stuleci, nad którymi autor panuje bez konkurencji, nie mogą zabierać głosu, tem się też tłumaczy pewna ułamkowość niniejszych uwag, które uzupełnią zapewne głosy innych znawców specjalnych zagadnień. Przechodzić będą książkę w porządku rozdziałów.

Pierwszy rozdział poświęcił autor omówieniu literatury przedmiotu oraz sformułowaniu zasadniczych jego problemów. Przedstawia więc znaczenie dokumentu jako źródła historycznego, a następnie kreśli stosunek naszej historjografji wieku XV (Długosz) i XVI do dokumentu. Wiek XVII to czas narodzin dyplomatyki na Zachodzie (Mabillon)¹⁾, co jednak nie wywołało na razie żadnego echa w Polsce. Zainteresowanie dokumentem wszakże jako źródłem historycznym u nas wzrasta, szczególnie u heraldyków oraz u historyków kościołów i klasztorów. Do Nakielskiego i Szczygielskiego, których autor wymienia, należałoby tu dodać jeszcze przynajmniej Jana z Komorowa, Bartłomieja Krzywińskiego i Stefana Damalewicza. Nie można też pominąć milczeniem naszych prawników, którzy, począwszy od Jana Łaskiego, mieli wielkie zainteresowanie dla dokumentów średniowiecznych, będąc niejako prekursorami Stanisława Konarskiego, którego rolę trafnie autor ocenia. Przecież i Dogiel miał swoich poprzedników, o których jednak autor nie wspominał; nie można bowiem przejść do porządku nad Janem Zamoyskim, którego zainteresowanie dla dokumentu i pieczęci pozostawiło po sobie bogaty plon w inwentarzu Archiwum Koronnego.

Zwięzle lecz trafnie przedstawia następnie autor ruch na polu historjografji a w szczególności dyplomatyki w dobie porobiorowej, ruch koncentrujący się około Lelewela, pierwszego naszego teoretyka nauk pomocniczych historii, aby potem dokładniej omówić wielką akcję wydawniczą wieku XIX w zakresie kodeksów dyplomatycznych, przyczem śledzi bacznie rozwój metody wydawniczej, szczególnie techniki wydawania tekstów dokumentowych, kończąc swe uwagi stwierdzeniem, że o ile Instrukcja wydawnicza Polskiej Akademji Umie-

¹⁾ Za zwykły *lapsus* uważam błąd w tytule dzieła Mabillona, *De arte diplomatica* zamiast: *De re diplomatica* (str. 5).

jętności stanowi duży postęp w tym kierunku „mimo swego charakteru kompromisowego i ram dość wielkich i niestałych“, to system J. Siemieńskiego (Symbolika wydawnicza), mimo pozornej ciężkości, odpowiada zupełnie wysokim wymaganiom dzisiejszej nauki. Trudno dziś jeszcze porównywać te dwa systemy, skoro w praktyce zastosowana została dotąd tylko Instrukcja Akademji, częściowo w wydawnictwie Aktów Unji Polski z Litwą a w całej pełni w Kodeksie dyplomatycznym katedry wileńskiej. Dopiero po wydaniu jakiejś publikacji dyplomatycznej z zastosowaniem symboliki Dyr. Siemieńskiego, będzie można powiedzieć coś o tem, czy i o ile ten system „odpowiada zupełnie wysokim wymaganiom dzisiejszej nauki“, czego tu zresztą nie mam zamiaru przesądzać.

Obszernie i wyczerpująco nakreślił autor rolę i zasługi W. Kętrzyńskiego dla rozwoju dyplomatyki polskiej oraz przedstawił spory naukowe, jakie wyniknęły między grupą uczonych lwowskich a krakowskich po ukazaniu się Kodeksu dyplomatycznego klasztoru tynieckiego, jako też Studjów nad dokumentami XII w. W. Kętrzyńskiego. Może nie dość dobitnie podkreślona została wartość pracy A. Małeckiego „W kwestji fałszerstwa dokumentów“, który z niezwykłą intuicją rozwinął już w r. 1904 poglądy na początki dokumentu „prywatnego i stosunek jego do zapisek“; podobne tezy zostały później, niezależnie od Małeckiego, sformułowane w nauce niemieckiej (Mitis, Steinacker, Redlich). Bardzo wyraźnie zarysowuje się na tle wywodów autora postać prof. Stan. Krzyżanowskiego, którego zasługa około stworzenia aparatu do pracy naukowej nad dyplomatyką w postaci wspomnianego wyżej zbioru fotograficznego w Gabinetie nauk pomocniczych historycznych U. J. domaga się tu szczególnego podkreślenia. Trochę w cieniu pozostaje w przedstawieniu prof. K. postać Bol. Ulanowskiego, badacza wielce zasłużonego dla krytyki dyplomatycznej, którego dwa zwłaszcza studja, nad dokumentami benedyktynek staniąteckich oraz klarysek św. Andrzeja w Krakowie, znamionują świetną szkołę i dziś jeszcze służyć mogą za wzory metodycznych prac z zakresu dyplomatyki, co również zasługiwało na odpowiednie podniesienie.

Omówiwszy dorobek młodszej i najmłodszej generacji pracowników na niwie dyplomatycznej, przechodzi autor do rozpatrzenia stanu badań oraz postulatów naukowych dyploma-

tyki, wykazując luki, jakie badania dotychczasowe pozostawiły, i rozpatrując braki tudzież niedostatki tychże. Ubolewa nad małym obecnie zainteresowaniem zagadnieniami dyplomatycznymi a przyczynę tego upatruje z jednej strony w braku katedr tego działu nauki na uniwersytetach polskich poza Krakowem, z drugiej w zamarcu ruchu wydawniczego. Co się tyczy katedr, to sądzę, że nietyle ich pomnożenie, ile stworzenie przy jednym z uniwersytetów wzorowego i dobrze uposażonego Instytutu Historycznego na wzór paryskiej *École des chartes* czy wiedeńskiego *Institut für österreichische Geschichtsforschung* mogłoby rozbudzić studia w zakresie nauk pomocniczych historycznych i archiwistyki. Natomiast godzę się z prof. K., iż nową podniętę znalazłaby krytyka dyplomatyczna „w zorganizowaniu na wielką skalę obliczonego wydawnictwa źródeł dyplomatycznych, któreby nowymi środkami analizy wydobyły ze źródeł nowe wartości, dziś w nich ukryte i utajone“. Tej myśli autora tembardziej mogę przyklasnąć, że sam już oddawna podnoszę potrzebę reedycji Monumentów Poloniae Hist. oraz Kodeksu dyplomatycznego Polski (myśl to jeszcze Piekosińskiego i Krzyżanowskiego), ale podjęcie tych wydawnictw wymagałoby znacznych środków pieniężnych, któremi dziś niestety nie rozporządzamy. Nie ulega wątpliwości, że wspomniane publikacje, oparte o Akademię przy współudziale innych ośrodków i towarzystw naukowych, mogłyby wywołać prawdziwy renesans w zakresie studjów historycznych i krytyki dyplomatycznej.

W rozdziale II-gim rozważa autor ogólne pojęcia dyplomatyczne w związku z polską nomenklaturą naukową, która — jak to słusznie zauważa — nie jest dotychczas dla wielu pojęć ustalona, nie jest też dotąd zgodnie określony — nietylko w polskiej dyplomatyce — zakres pewnych pojęć, tu jest jeszcze obszerne pole do dyskusji.

Zaraz pierwsze i najważniejsze pojęcie w dyplomatyce, dokument, może co do swego właściwego znaczenia i zakresu wywołać różnice zapatrywań. Do źródeł dyplomatycznych, t. j. takich, któremi zajmuje się dyplomatyka, a które autor słusznie przeciwstawia źródłom historjograficznym, zalicza on dokumenty, listy i akty. Na wstępie podaje definicję dokumentu jako „pisemne oświadczenie, sporządzone wedle pewnych określonych, lubo zmieniających się zależnie od osoby,

miejsca, czasu i treści form, które służyło jako świadectwo faktów natury prawnej¹. Autor odrazu więc ogranicza pojęcie dokumentu do sfery czynności prawnych i wdaje się w polemikę z prof. Kutrzebą, który, jakkolwiek sam prawnik, określił dokument znacznie szerzej, jako „na piśmie sporządzony akt, mający ściśle określone formy“, dodając, że „w formę dokumentów mogą być ubrane różnorodne akta, posiadające prawniczą i nieprawniczą treść“¹). Zachodzi tu o tyle nieporozumienie, że dokument można brać pod uwagę w szerszym i ściślejszym pojęciu. Prof. Kutrzeba mówi niewątpliwie o dokumencie *sensu latiori*, kładąc nacisk na formy (zewewnętrzne i wewnętrzne) aktu pisemnego, podczas gdy prof. K., przechodząc do porządku nad tem szerszym pojęciem, pragnie dokumentowi nadać odrazu ściśle ograniczony zakres świadectwa czynności prawnej.

Idzie w tem oczywiście za nauką niemiecką, reprezentowaną coprawda przez najwybitniejszych dyplomatyków nowszej doby, Bresslaua i Redlicha, jakkolwiek nie można powiedzieć, żeby ta definicja była przyjęta przez wszystkich uczonych, nawet niemieckich.

Już Juliusz Ficker, jeden z czołowych przedstawicieli nowszej dyplomatyki niemieckiej, zwracał uwagę na formalną stronę dokumentu (bez względu na treść) jako główną cechę, mającą na celu jego uwierzytelnienie. Podziela ten pogląd w zupełności znakomity teoretyk metodologii historycznej, Bernheim, w swoim „Lehrbuch der historischen Methode“ (str. 302). Bernheim słusznie podnosi, że uczeni niemieccy, zacieśniający pojęcie dokumentu do świadectw czynności prawnych, nie zdołali się dotąd wyemancypować z dawnego, praktyczno-prawnego kierunku, sięgającego jeszcze t. zw. *bella diplomatica*, kierunku, z którego zresztą zrodziła się dyplomatyka w wieku XVII. Ależ nauka ta rozszerzyła czasem swoje zainteresowania na wszelkie akty pisemne (nietylko poświadczenia faktów natury prawnej), posiadające zewnętrzne i wewnętrzne cechy dyplomatyczne, t. j. cechy, mające tym aktom nadać czy to uroczysty charakter czy znamię wierzytelności. Otóż dzisiejsza dyplomatyka, ucząc przedewszystkiem, choć nie wyłącznie, *discernere vera ac falsa*, ustalając zasady, wedle których w da-

¹) Historia źródeł prawa polskiego, t. I, str. 45 i n.

nym czasie i w danym miejscu stosowano do pism te pewne formy, nie może oczywiście ograniczać się wyłącznie tylko do aktów natury prawnej, ale musi obejmować także i te odziane w formę dokumentów akty pisemne, które z treścią prawną nie mają nic wspólnego, i w założeniu swoim nie miały być świadectwami czynności prawnych. Francuzi mają dla rozróżnienia tych pojęć ustalone terminy: dokumenty *sensu latiori* nazywają oni *chartes*, dzieląc je na 1) *actes*, t. j. właśnie to, co Niemcy nazywają *Urkunden im engeren Sinne*, więc świadectwa prawne, 2) *lettres* — listy i 3) *scripturae* — wszelkie inne pisma, pozostające w związku z dokumentem (Boüard, Manuel de diplomatique).

W polskiej literaturze dyplomatycznej wyraz dawniejszy „list“ i obecnie używany wyraz „dokument“ przyjął się w znaczeniu tego ogólniejszego pojęcia, odpowiadającego raczej francuskiemu *charte*, niż niemieckiemu *Urkunde i. e. S.* Dokumentem w tym pojęciu nazywamy zarówno przywilej jak statut, kontrakt i mandat, traktat polityczny i pozew czy wyrok, wreszcie list lub zapiskę historyczną, sporządzoną z zachowaniem form dokumentalnych (np. wspominkę, wmurowaną w kamień węgielny). Autor, zacieśniwszy z góry pojęcie dokumentu do świadectw prawnych, zdawał sobie jednak sprawę z istnienia analogicznych tworów, które nie są poświadczeniami czynności prawnych, ale wyłączył je z zakresu pojęcia dokumentu, usprawiedliwiając to za Bresslauem tem, że „takie źródła są niezwykle rzadkie“. Argumentacji tej jednak nie można uważać za dostatecznie ścisłą, gdyż nie ilość, lecz jakość może tu tylko rozstrzygać, zresztą ilość dochowanych aktów tego rodzaju jest kwestją uboczną i czysto przypadkową, o świadectwa bowiem natury prawnej, jako lukratywne, więcej dawniej dbano i lepiej je przechowywano, niż wszelkie pisma o przemijającym celu i charakterze, jak mandaty, pozwy czy listy, które wskutek tego masowo ginęły. Lecz autor robi wyjątek dla mandatów i orzeka, że trzeba je uznać za dokumenty, ale uzasadnienia tej jego decyzji nie można uważać za trafne; przyznając, że mandat należy całkowicie do dokumentów, usprawiedliwia to tem, iż zawiera on również treść prawną, która tkwi w fakcie, że władza zwierzchnia, przemawiając lub dając polecenia i rozkazy władzom podległym, dokonywa tem samem czynności prawnej. Otóż zdaje mi się, że każda czyn-

ność prawna stwarza jakiś skutek, jakiś tytuł prawny, a tego przy mandacie niema. Jeśli więc dokument jest wedle autora świadectwem czynności prawnej (nb. w pojęciu prawa prywatnego), to mandat takim świadectwem bezwarunkowo nie jest. Służy on wyłącznie celom administracyjnym a jego forma dokumentalna ma na celu nadać mu tylko uroczystą powagę i gwarancję wierzytelności w oczach odbiorcy. Badaniem zaś tej strony formalnej zajmuje się właśnie dyplomatyka, dlatego też mandat, podobnie zresztą jak pozew czy wyrok, uznać musimy za formalny dokument. Natomiast zacieśniając pojęcie dokumentu tylko do świadectw natury prawnej, musielibyśmy konsekwentnie wyłączyć z tego pojęcia wszystkie oświadczenia pisemne, sporządzane w formie dokumentalnej w początkowej fazie dyplomatyki, zanim one jeszcze zdobyły sobie stanowisko i charakter takich świadectw, co wedle prof. K. dokonywa się dopiero około połowy XIII w. A zatem ani taki np. dokument Zbyluta dla Łekna z r. 1153 ani szereg innych podobnych zabytków z XII czy z pocz. XIII w. wedle ścisłej definicji autora dokumentami by nie były, gdyż nie są one jeszcze celowymi świadectwami czynności prawnej, ale tylko prostymi zapiskami (notatkami aktowymi).

Może jednak to nasze szersze pojęcie dokumentu, z położeniem głównego nacisku na jego stronę formalną, pokrywa się z ogólniejszym pojęciem źródła dyplomatycznego, którym operuje autor, zaliczając tu oprócz dokumentów s. s. także listy i t. zw. akty? Otóż nie, a to z tego względu, że przez akty rozumie autor tego rodzaju produkta, które do dokumentów w naszym pojęciu zaliczyć trudno. Zakres pojęcia aktów, zaliczonych przez prof. K. do źródeł dyplomatycznych, budzi pewne wątpliwości. Inne znaczenie nadajemy temu terminowi w archiwistyce a inne w dyplomatyce. Z punktu widzenia dyplomatyki aktami będą wszelkie podręczne produkta pisemne wystawcy czy odbiorcy, lub ich pisarzy wzgl. kancelarii, pozostające w związku z wystawionymi czy otrzymanymi dokumentami, a zatem przede wszystkim koncepty a następnie u wystawcy formularze i rejestry (metryka), u odbiorcy kopjarze i inwentarze dokumentów. Ale nie mógłbym się zgodzić z autorem, aby do aktów w pojęciu dyplomatyki zaliczyć wszelkie raporty urzędowe, protokoły zeznań świadków, księgi zapisek sądowych, księgi rachunków i inną pozostaw-

stałość pracy biurowej władz czy urzędów. Są to akta w znaczeniu archiwalnym, ale nie dyplomatycznym, i dyplomatyka interesować się nimi może tylko o tyle, o ile pozostają w jakimś związku z dokumentami, np. jeśli w księgach sądowych czy administracyjnych były dokonywane wpisy czynności prawnych i wydawane z nich stronom zaświadczenia w formie dokumentów, lub jeśli wciągana w nie była treść dokumentów w formie oblaty. Pozatem te akta, jak je autor określa, z dyplomatyką nie mają wedle mnie wiele wspólnego i w zakres dyplomatyki wchodzić nie powinny.

W dalszym ciągu podaje autor szereg elementarnych wiadomości z zakresu dyplomatyki, bardzo pożytecznych w książce tej, mającej w założeniu swem podręcznikowy charakter. Mówi więc o podziale dokumentów, o osobach występujących w dokumencie, cechach wewnętrznych i zewnętrznych dokumentów, ich przekazach, aby wreszcie omówić stadja powstawania dokumentu. Ważnym jest ten rozdział ze względu na nieustaloną dotąd w szczegółach polską terminologję w zakresie dyplomatyki.

Więc dzieli naprzód dokumenty ze względu na stosunek do treści prawnej, idąc w tym względzie za nauką niemiecką, na dwie wielkie grupy: dokumenty poświadczeniowe (*Beweisurkunden*) i dyspozytywne (*Geschäftsurkunden*); gdyby chodziło o polską nazwę dla tej drugiej grupy, to może należałoby przyjąć dla niej nazwę dokumentów prawotwórczych¹⁾. Po-

¹⁾ Przy tej sposobności pragnę słów kilka nadmienić *pro domo mea*. Autor w obszernym przypisie, słusznie polemizując z podziałem dra K. Maleczyńskiego, wspomina o tem, że sprawę podziału dokumentów omawiam w moich litografowanych wykładach „Encyklopedji nauk pomocniczych historii“, przyczem zastrzegając się, że nie zna tych moich wykładów, opiera się w tym względzie na cytacie, przytoczonym z nich przez dra M., krytycznie wyrażając się o moim podziale. Żałować wypada, że autor nie zajrzał do tekstu moich „skryptów“ (jakkolwiek i te zawierają bez mojej winy wiele błędów i naiwności, jak wszystkie tego rodzaju wydawnictwa studenckie), gdyż cytat u M. jest błędny i przekręca zupełnie myśl, zawartą w „Encyklopedji“, w której to miejsce brzmi następująco (cytuję oczywiście wydanie, którem posługiwał się M.): „Jeśli patrzymy na dokumenty z punktu widzenia prawnego, to można podzielić cały materiał dyplomatyczny na dwie grupy: do pierwszej grupy będą należały takie dokumenty prawne, które są tylko pisemnem poświadczaniem, że jakaś czynność została dokonana,... drugą grupę dokumentów stanowią t. zw. chartae dispositivae; obejmują one dokumenty, które nietylko zaświadczają, że jakaś czynność prawna została dokonana, ale one same tworzą prawo“. O doku-

dobnie, aby uniknąć obcego wyrazu, proponowałbym dla formuły perpetuacyjnej nazwę „uwieczniającej“. Przy omawianiu dyktatu było rzeczą pożądaną poświęcić nieco miejsca językowi używanemu w dokumentach, krótkiej charakterystyce łaciny dyplomatycznej oraz tym wyrażeniom czysto polskim bądź zlatynizowanym, które stanowią tak ciekawe znamię języka polskich dokumentów średniowiecznych.

Definicja oryginału, podana zresztą przez autora niemal dosłownie za Bresslauem, jako „ta forma dokumentu, która wykonana została na zlecenie i za zgodą wystawcy, by służyć jako świadectwo zdziałanej czynności prawnej“, nie wyczerpuje w zupełności pojęcia oryginału, gdyż nie daje zastosować się do mandatów, które nie są zaświadczeniami czynności prawnej, a które mimoto autor zalicza (i słusznie) do dokumentów; zresztą pojęcie oryginału zastosować można i do listów, których autor przecież nie podciąga pod pojęcie dokumentów. Przy określeniu pojęcia oryginału należałoby, zdaniem mojem, wyłączyć moment celu i przeznaczenia, a położyć główny nacisk na moment dochowania się aktu w tej postaci, w jakiej został pierwotnie sporządzony z wolą i wiedzą wystawcy. Słusznie natomiast zaznacza autor, że w pojęciu oryginału tkwi równocześnie pojęcie autentyczności, tak, że definicja oryginału wyklucza możliwość użycia terminu „sfalszowany oryginał“ czy też „oryginał falsyfikatu“. Z tego stanowiska, ściśle dyplomatycznego, nie mógłbym, zgodnie z autorem, podzielić zdania prof. Kutrzeby¹⁾, że „i sfalszowany dokument może być oryginałem“; proponowałbym, celem uniknięcia nieporozumienia, dla takiego falsyfikatu, dochowanego w swej pierwotnej formie, w której został podrobiony, nazwę „rzekomego oryginału“ albo „pierwotekstu“ falsyfikatu. Nie dość właściwem ze stanowiska dyplomatyki wydaje mi się też wyrażenie prof. Kutrzeby²⁾, że „nauka dyplomatyki zwykle autentyk nazywa także oryginałem“, gdyż autentyk może dochować się i w kopji, a wtedy nie można mówić o oryginale, a jeśli ktoś z dyplomatyków

mentach „prawnych“ (*Geschäftsurkunden*) niema tu oczywiście mowy i nigdy-bym takiej bezsensownej terminologii w tem znaczeniu nie użył, a p. M. przypisał mi ją widocznie przez nieuwagę. W rzeczywistości mój podział niczem się nie różni od tego, który podaje prof. K. w „Zarysie“.

¹⁾ Historia źródeł prawa polskiego, t. I, str. 46.

²⁾ Tamże w przypisie.

użył szerszego pojęcia autentyku dla określenia oryginału, to z punktu widzenia dyplomatyki nie wyraził się dość ściśle.

Podobnie też wprowadzony przez prof. Kutrzebę podział dokumentów sfalszowanych na 1) dokumenty sfalszowane w ścisłym tego słowa znaczeniu, 2) dokumenty podrobione, i 3) interpolowane, nie odpowiada, jak to autor „Zarysu“ słusznie podnosi, ustalonym przez dyplomatykę pojęciom. Między dokumentem nazwanym przez prof. Kutrzebę podrobionym a dokumentem interpolowanym niema właściwie zasadniczej różnicy, dokument bowiem zwany przezeń podrobionym jest istotnie także interpolowanym, a to że w jednym wypadku interpolacja dokonana została na dochowanym oryginale przez dopisanie czy wyskrobanie, a w drugim wypadku w miejsce dawnego dokumentu sporządzono nowy tekst, korzystniejszy, nie jest momentem istotnym; natomiast jest zasadnicza różnica między sfalszowaniem drogą interpolacji już gotowego dokumentu a podrobieniem całkiem nowego dokumentu, który dawniej nie istniał. Dlatego lepiej może będzie określenia „dokument podrobiony“ (cz. falsyfikat) używać w znaczeniu ogólniejszem, dla wszelkiego rodzaju fałszerstwa dyplomatycznego, nazwą „dokument interpolowany“ określać taki falsyfikat, w którym do tekstu autentycznego wprowadzono zmiany czyto drogą usunięcia pewnej części jego czy też jakichś dodatków; jeśli dokonano tego wprost na oryginale, który się z takimi zmianami w tekście (dopisaniem czy razurą) dochował, to możnaby zatrzymać dlań termin używany niegdyś przez Piekosińskiego „oryginału podfałszowanego“. Natomiast zupełnie na nowo podrobiony i w całości zmyślony dokument można nazywać dość utartem określeniem „wierutny falsyfikat“ lub „fabrykat“.

Przechodząc do dalszych wywodów autora „Zarysu“, pragnę podać w wątpliwość twierdzenie (str. 69), że w Polsce już od najdawniejszych czasów wystawcy przechowywali sobie kopje wystawianych dokumentów, najstarsze zaś dane bardziej systematycznego przechowywania takich kopij mamy z r. 1298. W każdym razie przykłady, które autor przytacza na uzasadnienie tego poglądu, nie wydają się być wystarczającymi dowodami. W trzech konkretnych wypadkach z r. 1298, na które się powołuje, biskup poznański Andrzej transumuje dokumenty pewnych kościołów i te swoje transumpty (w oryginałach, nie w kopjach!) poleca przechować w archiwum kapituły poznań-

skiej¹⁾. Niema tu więc mowy o przechowywaniu przez wystawcę kopij wystawianych przez siebie dokumentów²⁾.

Pewne zastrzeżenia poczynićby też trzeba w odniesieniu do terminologii przyjętej przez autora dla takich kopij, które są autorytatywnymi powtórzeniami dawniej zdziałanych dokumentów (str. 71/2). Autor rozróżnia dwie formy dosłownego powtórzenia poprzednio wydanego dokumentu: 1) wystawca przytacza dosłownie dawny dokument, stwierdzając, że go widział i słowo w słowo przepisał; takie proste podanie kopji z wspomnianą klauzulą nazywa autor „*vidimus* lub *transumptem*“ 2) wystawca nie tylko pomieszcza dosłownie dawny dokument w ramach nowego, przez siebie wystawionego dokumentu, ale zarazem potwierdza całą jego treść; dla tego drugiego wypadku wprowadza autor nieużywaną dotąd u nas nazwę „*insertu*“, zaznaczając, że między *transumptem* a *insertem* zachodzi zasadnicza różnica prawna, domagająca się uzgodnienia terminologii z wymaganiami dyplomatyki, czego wymaga zdaniem jego większa jasność i dokładność poszczególnych określeń (str. 72, przyp. 1). Otóż pozwolę sobie zauważyć, że pojęciowo raczej *transsumptum* = *insertum*, aniżeli *transsumptum* = *vidimus*, jak woli autor. Wobec tego, zamiast wprowadzać nowy, obcy dotąd polskiej terminologii dyplomatycznej wyraz *insert*, może należało pozostawić stary, dotąd używany wyraz *transumpt* dla dokumentów „*inserowanych*“ i potwierdzonych, a dla zwykłej kopji z prostym oświadczeniem wystawcy, że dokument widział i przepisał, użyć również zresztą nie obcego literaturze naszej wyrazu „*vidimus*“. Jasności i zaznaczeniu różnicy stałoby się w ten sposób zadość, podczas gdy proponowana przez autora nomenklatura może wprowadzić pewne pomieszanie odrębnych pojęć (*vidimus* = *transumpt*). Jeśli autorowi chodziło o uzgodnienie terminologii z wymaganiami dyplomatyki (rozumiem zachodniej), to trzeba zauważyć, że ta terminologia nie jest tak bardzo ustalona,

¹⁾ Kod. dypl. wpol. t. II, nr 779, 784, 785.

²⁾ W niezbyt szczęśliwej stylizacji wypadło zdanie na str. 70: „Zbiór dokumentów należących do odbiorcy nazywamy archiwum“. Tak sformułowane zdanie, mające charakter definicji, nie jest właściwe w książce, z której młodzież czerpać będzie wiadomości, gdyż nieświadomy rzeczy może stąd wysnuć wniosek, że tylko zbiór dokumentów odbiorcy nazywamy archiwum, co nie leżało w intencji autora.

nietylko między nauką francuską a niemiecką, ale nawet w samej dyplomatyce niemieckiej, przodującej przecież w ścisłym precyzowaniu pojęć i ich określeń. Prof. K., równając pojęcia vidimus = transumpt a przeciwstawiając je insertowi, poszedł tu za Redlichem, który w ten sam sposób podał te definicje w podręczniku dyplomatyki, wydanym w „Handbuch der mittelalt. u. neueren Geschichte“¹⁾. Ale w innym, niemniej znanym i poważanym podręczniku dyplomatyki w Meistersa „Grundriss der Geschichtswissenschaft“, inny autor, Thommen, podaje definicję tych pojęć zgoła odmiennie, przeciwstawiając sobie pojęcia vidimus i transumptu, przyczem różnice ich nadzwyczaj jasno uzasadnia: Przy widymacie chodzi jedynie o zastąpienie oryginału autoryzowaną kopją, przyczem formularz jego ogranicza się tylko do stwierdzenia tożsamości i wierności odpisu z tekstem oryginału, tu więc klausula widymująca odgrywa rolę podrzędną, istnieje ona nie sama dla siebie ale dla kopji, która stanowi tu główny przedmiot dokumentacji. Taki widymat może wystawić każda autorytatywna osoba, której z osobą wystawcy powtórzonego dokumentu nie musi zresztą nic łączyć. Natomiast przy transumpcie mamy do czynienia zawsze z dwoma dokumentami: transumującym i transumowanym (inserowanym), z których pierwszy z reguły zatwierdza a niekiedy i rozszerza treść uprawnień udzielonych dokumentem inserowanym, jest ponadto sam dla siebie pełnym i skończonym dokumentem, przyczem wystawcę jego łączy najczęściej z wystawcą poprzedniego dokumentu węzeł sukcesji, czy też tego rodzaju stosunek, który uzasadnia wydanie takiego potwierdzenia. Definicje Thommena są tak proste i logiczne, odpowiadając przytem temu, co dotąd u nas w literaturze naogół było przyjęte, że nie wahałbym się dać im pierwszeństwo przed terminologją i określeniami, zalecanemi przez prof. K.²⁾ za Redlichem.

Z podziałem chronologicznym dziejów dokumentu polskiego, jaki wprowadza autor, też nie mógłbym się w zupełności zgodzić. Nie całkiem jest zrozumiałem, dlaczego koniec drugiego okresu przesuwa autor na r. 1300, skoro w ciągu

¹⁾ Urkundenlehre w wydawnictwie Belowa-Meineckiego, Handb. der mittelalterl. u. neuern Gesch. I. str. 35.

²⁾ Tak też przedstawiam tę rzecz w moich wykładach.

całej pracy dowodzi, że połowa XIII w. była takim przełomem, w którym dokument (książęcy) uzyskał moc samodzielnego, pełnowartościowego dowodu i w którym powstała u nas zorganizowana kancelarja. Te dwa momenty w rozwoju dyplomatyki naszej są tak ważne, że już same przez się starczą na uzasadnienie przyjęcia epoki w połowie XIII w. a nie dopiero w r. 1300. Nie bardzo też przekonywa argumentacja autora za wprowadzeniem podziałów chronologicznych w rozwoju dyplomatyki polskiej w okresie 1300—1500 na lata 1382—5 i 1447. Pierwszą z tych dat pragnie autor przyjąć jako granicę chronologiczną z tego powodu, że od tego jakoby czasu zaczynają płynąć coraz to liczniejsze źródła epistolograficzne, drugą dlatego, że od r. 1447 posiadamy przechowaną Metrykę Koronną. Oba te względy nie wydają mi się dość wystarczającymi do wprowadzenia na tych podstawach wogóle jakichś podziałów. Wszak są to względy zgoła zewnętrzne i przypadkowe; o Metryce Koronnej zresztą wiemy, że istniała już wcześniej, jeno zaginęła; toż samo powiedzieć można o najdawniejszych księgach sądowych i rachunkowych, które się nie dochowały, jakkolwiek mamy wyraźne ślady ich wcześniejszego istnienia. Natomiast pojawienie się w dokumentach kontrolnych zapisek kancelaryjnych, występujących po raz pierwszy u schyłku rządów Kazimierza Wielkiego, uważaćby można raczej za podstawę do wprowadzenia nowego podokresu, znamionującego dość ważną zmianę w porównaniu ze stanem wcześniejszym bez takich zapisek, podobnie jak ważnym elementem w rozwoju dokumentu byłby pojawiający się u schyłku XV w. własnoręczny podpis wystawcy.

Rozdział III poświęcił autor omówieniu warunków recepcji dokumentu w Polsce. Na czoło wysuwa się tu zagadnienie bodaj jedno z najważniejszych dla dziejów dokumentu polskiego i początków kancelarji polskiej. Pytanie to było i jest poniekąd dotąd sporne, gdy bowiem jedni uczeni, jak ze starszych Fr. Piekosiński i Tad. Wojciechowski, z młodszych K. Maleczyński, kruszyli kopje o istnienie kancelarji w Polsce już w w. XI i XII, wskazując na wczesne pojawienie się urzędu kanclerza oraz występowanie książęcej pieczęci majestatycznej już w końcu XI w., to drudzy, Wojc. Kętrzyński i St. Krzyżanowski, a także piszący te słowa, podnosili w tym kierunku daleko idące zastrzeżenia

i wątpliwości, wskazując na przeważający udział odbiorcy w sporządzaniu dokumentów przed poł. XIII w. i odnosząc początki kancelarji książęcej do połowy tego stulecia.

Prof. K. oświadcza się w „Zarysie“ również całkiem stanowczo przeciw teorii o istnieniu zorganizowanej kancelarji przed połową XIII w., zwracając przedewszystkiem uwagę na różnaitość i niestalenie form dokumentu polskiego przed tym czasem, zwłaszcza zaś na różne „dziwolągi“ dyplomatyczne, jakie pośród dokumentów naszych z XII i pierwszej połowy w. XIII dość często zachodzą. Dalej wskazuje całkiem trafnie na oddziaływanie analogicznych stosunków w dyplomacyce prywatnej na najbliższym Zachodzie, gdzie okres X—XI w. znamionuje upadek dokumentu i panowanie zapiski; dopiero w ciągu wieku XII, dzięki oddziaływaniu z jednej strony wpływów dyplomatyki królewskiej, z drugiej odrodzeniu pieczęci, dochodzi tam do wskrzeszenia zapomnianego dokumentu prywatnego; jednak zorganizowanie się stałych kancelaryj książęcych, biskupich i in. przypada i w Niemczech dopiero mniej więcej na połowę wieku XIII, niektórych nawet nieco później jeszcze.

Pragnę tu zauważyć, że do powstania kancelarji prywatnej w Niemczech przyczyniła się doniosła zmiana w ustroju wewnętrznym Niemiec, która dokonała się wśród walk politycznych w pierwszej połowie XIII stulecia. Oto w trzecim dziesiątku tegoż wieku wykształca się tam władztwo terytorjalne książąt duchownych i świeckich, do czego podstawę położył wielki przywilej Fryderyka II dla kościoła i duchowieństwa niemieckiego z r. 1220 oraz tegoż króla wormackie *privilegium in favorem principum* z r. 1231, nadające książętom niemieckim pełną udzielnosć terytorjalną (*fürstliche Landeshoheit*). Odtąd też książęta stali się w swych terytorjach rzeczywistymi panami, *Landesherrn*, i przejmując część władzy królewskiej, starali się urządzić swoje organa władzy, między innymi i kancelarję, na wzór królewskiej, jako stały urząd, tem więcej im teraz potrzebny, ileże ta głęboko sięgająca zmiana, która rozszerzała znacznie władzę książąt, przypadła właśnie na czas wzmózonego rozwoju życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego, pociągając za sobą niezwykle wzrost agend publicznych.

Otóż przypuszczam, że ten moment, zresztą i w literaturze niemieckiej nie dość silnie podkreślany¹⁾, nie pozostał bez wpływu na stosunki w Polsce, gdzie właśnie w tym czasie, podobnie jak w Niemczech, rozbicie terytorjalne przy coraz większym zaniku zwierzchniej władzy princepsa dochodzi do szczytu i gdzie książęta polscy, jako udzielnicy panowie terytorjalni, niewątpliwie naśladowali wzory swych najbliższych sąsiadów zachodnich, królów czeskich, margrabiów brandenburskich czy książąt turyńskich, z którymi pozostawali w bliższych stosunkach; najsilniej oczywiście będzie się ten wpływ zaznaczał w naszych księstwach zachodnich, na Śląsku, Pomorzu i w Wielkopolsce.

Autor trafnie ocenia wyniki, które utrudniały bądź przyspieszały recepcję dokumentu w Polsce. Co się tyczy pierwszych, odnoszę wrażenie, że trochę przecenił trudności, wynikające z transkrypcji wyrazów polskich alfabetem łacińskim. Bądźco bądź pisarze, nawet cudzoziemscy, jakoś sobie z tem dawali radę, nie wiele zadając sobie trudu, by możliwie wiernie brzmienie tych wyrazów uwydatnić; wychodziły stąd wprawdzie niekiedy dziwolągi językowe, wielu przykładami przez autora zilustrowane, mało jednak pośród nich jest nazw i imion takich, którychby się dziś nie dało zidentyfikować. Sądzę przeto, że z tej strony na zbytek trudności, aż odstrasżające od pisania dokumentów, skryba średniowieczny nie natrafiał. Natomiast rzeczywiście poważną przeszkodę napotykał on w zakresie terminologii, zwłaszcza prawniczej, gdy chodziło o oddanie rodzimych pojęć prawnych i ustrojowych określeniami i wyrazami łacińskimi, jak to słusznie podnosi autor. Tylko, że trudności te trwały właściwie przez całe średniowiecze, a i tu dyktator polski umiał sobie radzić, zastępując w razie wątpliwości termin łaciński wprost wyrazem polskim, zjawisko, które w „Zarysie“ zasługiwało może na bliższe omówienie, z przytoczeniem najczęstszych i najcharakterystyczniejszych przykładów.

Cały szereg czynników, które autor szczegółowo omawia, przyspieszał rozpowszechnienie dokumentu w Polsce, a to przede wszystkim wpływ Zachodu, rozwój immunitetu i wpływ państwa oraz prawa kanonicznego.

¹⁾ Podnosi to wprawdzie Redlich w swej książce o dokumencie prywatnym, str. 154 n., ale bez szczególnego nacisku na skutki tego doniosłego zdarzenia dla rozwoju kancelarii i dyplomatyki prywatnej w Niemczech.

Jeśli idzie o wpływ Zachodu, to najstarszym fundacjom benedyktyńskim, które stamtąd do nas przychodziły, odmawia autor większej na polu dyplomatyki roli, przypuszczając, że nie posiadały one pierwotnie żadnych dokumentów, o które nie dbały i których potrzeby nie odczuwały. Nie można odmówić słuszności prof. K., że właściwie dopiero nowe zakony, cystersi przedewszystkiem, przyczyniły się do rozpowszechnienia u nas znajomości dokumentu, ale przecież i starym benedyktynom trzeba przyznać w tym względzie niejaki zasługi. Wszak Mogilno już od Bolesława Szczodrego miało prawdopodobnie dokument, jakkolwiek nie dochował się on w swej pierwotnej postaci, lecz w przeróbce z XII w., Tyniec już w początkach XII w. postarał się u legata papieskiego o potwierdzenie swych majątków, podobnie św. Wincenty wrocławski miał już w pierwszej połowie tegoż wieku pewne dokumenty, a nie wiemy, ile tych pisemnych świadectw zaginęło, gdy benedyktyni zaczęli ustępować miejsca w szeregu klasztorów nowym zakonom, które oczywiście dokumenty benedyktyńskie zastępowały nowemi; ale nad tem, dla braku konkretnych danych, rozwódzić się tu dłużej nie myślę.

Z pośród tych czynników prawnych, które mogły oddziaływać na recepcję i rozpowszechnienie się dokumentu w Polsce, niedocenia autor a nawet niemal zaprzecza wpływu prawa retraktu, na który zwróciłem uwagę w jednej z prac moich. Nie miejsce tutaj na szczegółowsze uzasadnienie tego poglądu, wystarczy jednak wskazać na klasyczną Księgę henrykowską, w której znajdziemy co krok przykłady na tę walkę, jaką proces stabilizacji stosunków majątkowych musiał staczać ze starym prawem rodowo-majątkowym, i na rolę, jaką w tej walce odegrał Kościół, jako to „obce ciało“ w ustroju prawnospołecznym pierwszych wieków, dążące kosztem ustroju rodowego do zdobycia własnych praw majątkowych. Jednym ze środków, którym Kościół posługiwał się w obronie nabytych praw własności do ziemi i ludzi, zarówno przeciwko zakusom rewindykacyjnym książąt, krewnych ofiarodawcy, jak zwłaszcza przeciwko rodowcom rycerskich nadawców czy pozbywców, był — obok klątwy — dokument, w którym skrupulatnie zaznaczano wszelkie okoliczności, mogące osłabić prawo retraktu, a więc zgodę najbliższych krewnych, a także odszkodowanie, jakie ci najbliżsi otrzymywali bardzo często za zrzeczenie się swoich roszczeń.

Możnaby przytoczyć nie dziesiątki, ale setki dokumentów, w których te właśnie momenty są zaznaczone wyraźnie a niekiedy nawet wysunięte na plan pierwszy, tak, że w wielu wypadkach odnosi się wrażenie, iż dokument nie dla czego innego został spisany, jak właśnie dla stwierdzenia i przekazania pamięci tych okoliczności, związanych z prawem retraktu. Sądzę przeto, że działanie tego prawa należy związać silniej, niż to przyjmuje autor, z użytkiem i upowszechnieniem się dokumentu, co w silniejszym jeszcze stopniu występuje w innych krajach słowiańskich, szczególnie w południowo-słowiańskich, gdzie dochowały się dokumenty, opisujące dokładnie cały proceder pozbycia nieruchomości za przyzwoleniem krewnych, mający na celu zabezpieczenie się przed skutkami prawa retraktu.

Natomiast bardzo słusznie podkreśla autor, uznane zresztą w literaturze, znaczenie dekretu papieża Aleksandra III *de fide instrumentorum* dla ustalenia pojęcia *sigillum authenticum* oraz wpływu tegoż na wzrost powagi dokumentu, tylko nie podaje, na jakiej podstawie podał datę tego dekretu na rok 1166, gdyż w literaturze dotychczasowej, o ile mi wiadomo, data ta ściślej określona nie została. Nie ulega też wątpliwości, że nauka prawa kanonicznego i wpływy jej na stanowisko dokumentu przenikały do nas już w pierwszej połowie XIII w. (przykładem choćby mistrz Wincenty Kadłubek), tylko sądzą, że nie można bezpośredniego dowodu tych wpływów doszukiwać się w przytoczonych (na str. 102) arengach niektórych naszych dokumentów, gdyż arengi te żywcem i bez głębszej myśli brano z obcych formularzy¹⁾, co najwyżej więc pośrednio mogły one torować drogę nowym ideom, które głośiły.

Czy jednak autor „Zarysu“ nie przecenił roli polskiego ustawodawstwa synodalnego w rozszerzaniu i rozpowszechnianiu dokumentu w drugiej połowie XIII w.? W każdym zaś razie te przykłady, które przytoczył na poparcie swej tezy, nie zdają się starczyć do wysnuwania tak daleko idącego wniosku o przyspieszaniu przez ustawodawstwo kościelne procesu dojrzewania dokumentu. Bo naprzód statuty legata Jakuba z r. 1248 oraz arcybiskupa Pełki z r. 1258 mówią jedynie o obowiązku posiadania przez niższe duchowieństwo pieczęci celem opieczę-

¹⁾ Co też autor sumiennie zaznacza w przypisie 6 do str. 102, osłabiając jednak swe wnioski zawarte w tekście.

towywania o t r z y m y w a n y c h p i s m i k u r e n d, nie pojmując więc, czem to zarządzenie mogło przyczyniać się do szerszego stosowania dokumentu. Nic też w tym kierunku nie przynosi statut kardynała Gwidona z r. 1267 ani Filipa z Fermo z r. 1279, ten ostatni bowiem mówi wogóle o sporządzaniu testamentów wobec świadków a niema żadnej podstawy do rozumienia pod testamentem aktu pisemnego, jak to autor przyjmuje, i gdyby legatowi o to chodziło, byłby niewątpliwie wymóg taki w swym statucie zamieścił. Podobnie też „*litterae admissionis*“ w statucie arcybiskupa Jakóba z r. 1285 nie są jakimiś dokumentami w pojęciu dyplomatycznym, ale prostymi legitymacjami osobistymi dla *homines novi*, dopuszczanych do prebend kościelnych. Jedynie przepis tegoż statutu, postanawiający spisywanie w formie dokumentu fundacyj lub uposażeń dokonywanych przez biskupów (ale tylko przez biskupów, tymczasem autor generalizuje ten przepis), mógłby tu być brany pod uwagę i mieć pewne znaczenie dla rozpowszechnienia dokumentu¹⁾, gdyby treść jego nie była tak ograniczona i gdyby nie przychodził on w porze, kiedy właściwie dokument był już dość rozwiniętą formą pisemnego zaświadczenia, by ze strony ustawodawstwa kościelnego tej propagandy dla swego rozwoju potrzebował.

Trafnie śledzi autor podobną ewolucję, która dokonała się w pojęciach ówczesnych o wartości i trwałości pisemnego świadectwa wobec nietrwałości dowodu ze świadków. Tylko znów czy można tu ufać arengom i koroboracjom, i czy wogóle potrzeba tak papierowego dowodu wobec klasycznego świadectwa Żywota św. Stanisława z ok. r. 1230, stwierdzającego ponad wątpliwość równorzędność dowodu ze świadków z dowodem zapomocą dokumentów w ówczesnych pojęciach prawnych?

Pod koniec tego rozdziału zastanawia się autor nad pytaniem, dlaczego, cofając się wstecz w wiek XIII, spotykamy się z coraz to mniejszą ilością dokumentów, dlaczego tak mało mamy ich z w. XII, a zupełnie już nic z w. XI. Wyłączając niszczące działanie czasu a tem więcej jakichś przyczyn kata-

¹⁾ Natomiast powołana przez autora na str. 104 w przyp. 5 arenga z dokumentu Tomasza biskupa płockiego z r. 1294 nie mówi o pisaniu dokumentów fundacyjnych czy uposażeniowych, jeno o potrzebie uposażenia konsekrowanych kościołów, nie wydaje mi się przeto być w związku z wspomnianym przepisem statutu arc. Jakóba z r. 1285, jak to wnosi autor.

strofalnych, uważa autor to retrogresywne zanikanie, aż wreszcie zupełny brak najwcześniejszego materiału dokumentalnego za przejaw faktu, iż w wieku XI był u nas — podobnie jak nieco wcześniej we wschodnich i północno-wschodnich Niemczech — okres bezdokumentowy, że dokument wogóle nie był u nas znany i nie odczuwano zgoła jego potrzeby. Autor uważa za rzecz bardzo mało prawdopodobną, by władcy polscy XI w. wystawiali dokumenty. Nasze najdawniejsze fundacje, biskupstwa czy opactwa posiadały zdaniem jego tylko bulle papieskie, a conajwyżej zadawały się własnymi zapiskami, które autor określa może niezbyt szczęśliwą nazwą „notatek aktowych“. Pewna ilość takich zapisek dochowała się w pierwotnej formie, inne dadzą się odtworzyć na podstawie późniejszych dokumentów, które je zużytkowały. Niewątpliwie także Księga henrykowska zużytkowała, częściowo przynajmniej, takie zapiski klasztorne, tylko nie należy ich — jak to czyni autor na str. 114 — porównywać z zapiskami w *libri traditionum*, gdyż te, występując w Niemczech na dość ograniczonym terytorjum ziem południowych i południowo-wschodnich, miały zgoła inny cel i inny charakter (jako t. zw. *notitiae testium*). Nie można też, jak to czyni autor na str. 114, zaprzeczać temu, że przy odtwarzaniu starego uposażenia dokumenty nasze, a także Księga henrykowska, czerpały wiadomości z żywej tradycji; mojem zdaniem czerpały je one niejednokrotnie z opowiadania ludzi starych, którzy nietylko zdarzenia z przed lat 20 czy 30, ale i o wiele dawniejsze — znów na podstawie jeszcze starszej tradycji — mogli pamiętać i opowiadać, jak ów stuletni rycerz Giedko z Rocznika kapitulnego, albo kmieć Kwiatek z Księgi henrykowskiej, który autorowi teje „*narravit antiquitates hereditatum*“.

Wracam jednak do niepokojącego pytania, do którego autor ustosunkował się sceptycznie, a nawet wręcz negatywnie: czy mogliśmy mieć dokumenty w wieku XI, czy jest możliwe by taki Bolesław Chrobry czy Mieszko II wystawiali dokumenty dla swoich najstarszych fundacyj: metropolji, biskupstw, opactw? Zdawałoby się, że wobec braku jakichkolwiek dochowanych śladów poruszanie tej kwestji jest rozprawianiem *de lana caprina*. A jednak sam autor uznał, że *ex silentio* nie można tej kwestji uważać za przesądzoną, ale wysunął inne wątpliwości i argumenty, zdające się przemawiać przeciw możliwości



istnienia dokumentów monarchów polskich z XI w.: 1) że trudno uwierzyć, by w owych odległych czasach zdawano sobie sprawę z potrzeby określania na piśmie zdziałanej czynności prawnej, celem stworzenia wiarogodnego świadectwa, skoro ta idea dojrzeła u nas dopiero w wieku XIII, 2) że skoro na Zachodzie dokument t. zw. prywatny zaczyna odradzać się na nowych podstawach dopiero w w. XI, to w Polsce, której urządzenia prawne były jeszcze bardzo pierwotne, dokument mógł zjawić się dopiero później, 3) że wreszcie nasze biblioteki katedralne przechowały szereg cennych rękopisów z w. XI, a dokumentu ani jednego, wobec czego nie można operować argumentem zatraty tychże w przewrotach wewnętrznych i wojnach, którym musiałyby ulec i rękopisy. Tym argumentom *contra* pragnę przeciwstawić jeden argument *pro*, do którego autor, mojem zdaniem, nie przywiązał dosyć wagi, mianowicie istnienie w XI w. dokumentów u bezpośrednich naszych sąsiadów, w Czechach a zwłaszcza na Węgrzech. Nie chodzi tu wszak o rozwinięte i szerokie stosowanie dokumentu w tych krajach, ale o fakt choćby słabo rozpowszechnionego jego istnienia. A fakt ten jest dziś w nauce niezaprzeczony¹⁾: szczególnie interesujące są te stosunki na Węgrzech, które w początkach wieku XI stały mniejwięcej na tym samym poziomie kulturalnym co Polska. A przecież znamy 10 dokumentów króla Stefana dla kościołów i klasztorów węgierskich, z których 5 uznano za autentyczne (z tych jeden pisany po grecku²⁾). Prof. K. wie o tych dokumentach, sporządzonych na wzór cesarskich, lecz stara się osłabić ich znaczenie, uważając je tylko za formalne naśladownictwo (natury raczej etykietalnej) tego, co robił cesarz, kiedy zakładał biskupstwa. Temu pogładowi sprzeciwia się jednak fakt, który wykazali Steinacker i Bresslau³⁾, że na dworze Stefana

¹⁾ Co do Czech ob. Friedricha G., Codex dipl. Bohemiae I, gdzie dokumenty książąt rozpoczynają się już w r. 1000 (Bolesław III), oraz tegoż wydawnictwo podobizn dokumentów czeskich: Acta regum Bohemiae, wykazujące wyraźny wpływ dyplomatyki cesarskiej na najdawniejsze dyplomy i pieczęcie książąt i królów czeskich. Co do Węgier por. rozprawę H. Bresslaua, Zu den Urkunden König Stephans von Ungarn (Archiv f. Urkundenforschung, VI (1918), str. 65—76, oraz Szentpétery I., Magyar oklevéltan (Budapest 1930), str. 36 i nast.

²⁾ Bresslau, l. c. i Szentpétery, l. c.

³⁾ Mitteil. des Inst. f. österr. Geschichtsforsch. t. 24, str. 139, oraz Bresslau, l. c., str. 72.

Wielkiego działał od r. 1002 pisarz (t. zw. Heribert C), który przyszedł z kancelarii cesarskiej; czy można tu zatem mówić o wpływie tylko zewnętrznym, etykietałnym? Mniemam, że wpływy dyplomatyki cesarskiej sięgały znacznie głębiej, że sięgały one w sferę treści i znaczenia prawnego dokumentu królewskiego. Zasięg i zakres tych wpływów wykazał Bresslau w pięknej pracy, poświęconej międzynarodowym stosunkom w zakresie dyplomatyki średniowiecznej¹⁾. Otóż sądzę, że nie inaczej musiało być współcześnie w Polsce. Mocarstwowe po zjeździe gnieźnieńskim a bardziej jeszcze po koronacji królewskiej 1025 r. stanowisko Polski i wysoki autorytet królów Bolesława Chrobrego oraz Mieszka II (w pierwszych latach jego rządów) pozwalają przyjąć, że podobnie jak na Węgrzech, istniała wówczas i w Polsce dyplomatyka królewska, jak istniała w Niemczech, Francji, Anglii, Danji czy na Węgrzech. Tej dyplomatyki królewskiej, z której po reakcji pogańskiej i upadku królestwa nie pozostało u nas śladu, nie można wiązać z późniejszą naszą dyplomatyką książęcą XII i XIII w., która wyrosła już z innego pnia, pod wpływem zachodniej dyplomatyki prywatnej²⁾. Dla naszych najstarszych fundacyj katedralnych i benedyktyńskich był dokument Chrobrego czy Mieszka, a może i Szczodrego jeszcze, taką samą potrzebą, jak dla Magdeburga czy Miśni dokument cesarski, a dla katedry w Pięciu Kościołach czy opactwa św. Marcina na Pannońskiej Górze dokument króla Stefana Wielkiego. Wszak na naszych pierwszych stolicach biskupich czy stolcach opackich zasiadali ludzie z tych samych co tam środowisk, niekiedy nawet ludzie ciżsami (Astryk-Anastazy, św. Wojciech, Brun i in.), obeznani z celem i znaczeniem królewskich dokumentów fundacyjnych. Otóż ci biskupi i opaci musieli nie mniejszą wagę przykładac do dokumentów polskiego monarchy, udzielnego władcy, niezawisłego od cesarza, podobnie jak Stefan węgierski, nie dającego

¹⁾ Internationale Beziehungen im Urkundenwesen des Mittelalters (Archiv f. Urkundenforsch. VI str. 19). Bresslau nie zorientował się jednak w zakresie dyplomatyki polskiej, której nie uwzględnił z powodu nieznamomości języka.

²⁾ Zupełnie analogiczny proces dokonał się na Węgrzech, gdzie dawna dyplomatyka królewska w końcu XI w. upada a dokument królów węgierskich rozwija się na wzorach zachodniej dyplomatyki prywatnej. Różnica w tem, że na Węgrzech nie było reakcji pogańskiej, która mogła zniszczyć pierwsze nasze dokumenty królewskie.

się zatem przyrównać do jakiegokolwiek lennika cesarskiego, margrafa czy nawet księcia niemieckiego. Nie mam przeto wątpliwości, że na dokument króla polskiego patrzano w Polsce i poza Polską, oczywiście w sferach ówczesnej „inteligencji“, tak jak na dokument każdego innego władcy udzielnego, i w słowach jego dopatrywano się takiej mocy dyspozytywnej, jak w dokumencie cesarskim czy królewskim na Zachodzie. Za istnieniem zaś takiego dokumentu w Polsce już w pierwszej połowie XI w. przemawia przedewszystkiem wysoki poziom kultury, przemawia to, co wiemy o wykształceniu pierwszych Piastów, przedewszystkiem Mieszka II i Kazimierza Odnowiciela, fakt wreszcie istnienia wyraźnych śladów korespondencji już w w. XI. Ważnym argumentem, choć pośrednim tylko, jest dochowana pieczęć królowej Ryksy, której datę prof. Kętrzyński nie bez słuszności przesuwają bliżej czasu koronacji królewskiej Mieszka II. Jeśli zaś Ryksa miała swą pieczęć, czy można wątpić, że ją miał Mieszko, a przecież dla zwykłej etykiety chyba jej nie posiadał, jeno używał do pieczętowania listów, mandatów i, rzadkich coprawda, dokumentów. Reminiscencją zresztą monarszej pieczęci królewskiej z XI w. jest do dziś dochowana majestatyczna pieczęć Władysława Hermana, przywieszona do dokumentu tegoż księcia dla katedry w Bambergu¹⁾, tylko że na tej pieczęci postać księcia z mieczem na kolanach oznacza już pewną *diminutio* w stosunku do królewskiego majestatu, w jakim są przedstawiani na pieczęciach np. węgierscy królowie w drugiej poł. XI w., i w jakim niezawodnie przedstawiony był na swej pieczęci Mieszko II, którego należy wyobrazić sobie w koronie i z berłem, tak, jak go przedstawiono na znanej minjaturze w rękopisie Matyldy²⁾.

Cała ta królewska dyplomatyka pierwszych naszych koronowanych monarchów, o której istnieniu jestem głęboko przeświadczony, a którą wyobrazić sobie trzeba tak właśnie, jak królewską dyplomatykę współczesnych im królów węgierskich, przepadła bez śladu. Co jej przyniosło zagładę, domyślano się już dawniej: była jej sprawczynią przedewszystkiem reakcja po-

¹⁾ Odmienne od autora (str. 138) uważam pismo Hermana dla Bambergu nie za list, lecz za dokument o niezupełnie wykształconych formach, przyczem rozstrzygającym dla mnie momentem jest brak salutacji a zwłaszcza moment fundacji pewnych prebend w katedrze bamberskiej.

²⁾ Podobiznę minjatury ob. w MPH. t. I., tabl. IV.

gańska, która, niwecząc młodą naszą organizację kościelną, niszczyła równocześnie dokumenty fundacyjne, tak monarsze jak i papieskie, które powoływały do życia katedry i opactwa, określały zasięgi ich granic i wyznaczały uposażenie. Czego nie zdołała zniweczyć reakcja pogańska, to uległo niebawem niszczycielskim najzdom, czeskiemu, pomorskiemu i t. d. Prof. K. przeciwstawia się temu pogładowi, wskazując na to, że przecie dochowały się u nas niektóre rękopisy i pewne zabytki skarbców katedralnych z XI w., ale trzeba zauważyć, że dla wrogów kościoła polskiego te rzeczy nie przedstawiały tego interesu, co kościelne dokumenty fundacyjne. Wszak sam autor przyznaje, że „nie przechowały się w archiwach naszych żadne z tego czasu dokumenty papieskie, które musiały przecież istnieć“ (str. 117). Jeśli zaś przyjmujemy, że istniały dokumenty papieskie, które potem zaginęły, to przyjąć można także istnienie dokumentów monarszych, które musiały podzielić los tamtych.

Z tem wszystkim przyjmując duże prawdopodobieństwo istnienia w Polsce i stosowania — co prawda w niezbyt szerokiej mierze — dokumentu królewskiego już w pierwszej połowie XI w., nie przesądzam istnienia stałej i zorganizowanej kancelarji na wzór królewskiej w Niemczech, w czem najzupełniej podzielam pogląd prof. K., przeciwstawiając się mniemaniu dra Maleczyńskiego. Obecność na dworze królewskim, pośród kapelanów zwłaszcza, ludzi biegłych w sztuce pisarskiej a nawet obeznanych, jak ów Heribert C na dworze Stefana Wielkiego, z arkanami kancelarji królewskiej niemieckiej, zupełnie wystarczała skromnym jeszcze podówczas potrzebom dokumentacji, w której zresztą i odbiorcy brali niewątpliwie czynny udział. Kancelarja polska jest przeto wytworem dopiero wieku XIII, a zjawiający się u nas już wcześniej kanclerze książęcy nie mieli stałych funkcyj, któreby pozwoliły porównać ich z współpracownikami przetrwałych kancelaryj królewskich na Zachodzie. Funkcje te ograniczały się conajwyżej do pisania i pieczętowania mandatów i listów (przyczem korespondencję tę należy sobie wyobrazić niewspółmiernie bogatszą w stosunku do tego, co się do dziś dochowało), ale nie obejmowały one szerszej produkcji dokumentów, która dopiero wtedy u nas się rozwija, kiedy dokument się upowszechnił i stał się niejako chlebem codziennym

w życiu społecznym i kulturalnym, o czym przed połową XIII w. nie mogło być mowy, jak to trafnie i przekonywująco wykazał autor „Zarysu“.

Najważniejszy i najciekawszy bez wątpienia problem, omówiony w książce prof. K., to stanowisko prawne dokumentu w Polsce. Rozdzielił go autor na dwa rozdziały, rozpatrując w rozdziale IV-ym stulecia XII i XIII a w rozdziale V-ym wieki XIV i XV. Tylko kwestję wartości prawnej pieczęci słusznie ujął autor w jedną całość i rozprawił się z nią odrazu w pierwszym z tych rozdziałów.

Zagadnienie stanowiska prawnego dokumentu, a w szczególności rozwoju jego wartości prawnej, należy do najtrudniejszych w dyplomatyce, nietylko naszej. Zajmowali się nim najwybitniejsi prawnicy i dyplomaty niemieccy i inni, lecz nie można powiedzieć, by ta sprawa w nauce zachodniej była już bez reszty zbadana i rozwiązana. U nas dawniejsi dyplomaty (W. Kętrzyński i St. Krzyżanowski), jak i prawnicy (Hube) zdawali sobie sprawę z doniosłości zagadnienia, za mało jednak byli przygotowani do szerszego ogarnięcia tej tak trudnej kwestji, zarówno prawnej jak i dyplomatycznej, wymagającej jeszcze specjalnych studjów. W nowszych czasach wypowiedział się w tej materji prawnik prof. R. Taubenschlag i dyplomatyk dr. K. Maleczyński. Prof. Taubenschlag dał na razie tylko krótki pogląd na rozwój wartości prawnej dokumentu polskiego w sprawach prywatnych w XII i XIII w., przyczem pogląd ten zasadniczo niewiele odbiega od linii, jaką dla rozwoju dokumentu prywatnego nakreślono w nauce zachodniej (Redlich). Maleczyński zajmuje się kwestją wartości prawnej dokumentu na małym tylko odcinku dyplomatyki Odonicza i Laskonogiego, bez szerszego jednak spojrzenia na całość tego skomplikowanego zagadnienia.

Prof. K. zatem pierwszy w naszej literaturze podejmuje w swym „Zarysie“ rozpatrzenie rozwoju wartości prawnej dokumentu w tak szerokich ramach chronologicznych, obejmujących całe średniowiecze, co mu daje przedewszystkiem rozległy horyzont widzenia, jakkolwiek zdaje sobie sprawę z tego, że „mało i słabo dotąd jesteśmy przygotowani do rozwiązania naukowego tego problemu“, ponieważ brak jeszcze należytego pogłębienia badań nietylko w obrębie XIII, ale także XIV i XV w.

Pogląd autora w zasadniczych rysach pokrywa się z tem, co do rozwoju prawnego znaczenia dokumentu prywatnego ustaliła nauka zachodnia, głównie niemiecka, i co na grunt polski przeniósł już poprzednio prof. Taubenschlag. Streszcza on się w tem, że dokument polski (ma tu autor na myśli przedewszystkiem dokument książęcy), zjawiający się w pocz. XII w., tylko stopniowo i powoli zdobywa sobie naprzód stanowisko pełnoprawnego środka dowodowego, zanim — dopiero znacznie później — uzyskał charakter dokumentu dyspozytywnego. Między autorem a Taubenschlagiem zachodzą tylko różnice co do szczegółów, przedewszystkiem co do chronologicznego ujęcia procesu rozwojowego. Wedle prof. K. proces ten odbywa się znacznie wolniej, niż to sobie wyobraża Taubenschlag, który mniema, że dokument zaopatrzony pieczęcią już u schyłku pierwszej połowy XIII w. zdobył sobie u nas uznanie jedyne i wyłączne środka dowodowego, a z końcem XIII w. znajduje się on już na drodze do przekształcenia się z dokumentu dowodowego na dokument dyspozytywny. Prof. K., podkreślając słusznie złożoność tego procesu i konieczność przyjęcia szeregu faz pośrednich, przesuwają jego studia rozwojowe na czas nieco późniejszy; uważa mianowicie, że dokument książęcy dopiero od połowy XIII w. zyskał powszechne uznanie jako samodzielny, pełnoprawny dowód wobec księcia i jego sądu (jakkolwiek i później jeszcze, w drugiej połowie XIII w., zdarzają się wypadki powoływania obok dokumentu także i świadków), a dopiero w ciągu XIV i XV w. powoli osiąga on stanowisko dokumentu dyspozytywnego (jakkolwiek znowu obok takiego dokumentu długo jeszcze istnieją dokumenty poświadczeniowe).

Podzielam zasadniczo pogląd prof. K., gruntownie uzasadniony całym szeregiem argumentów oraz przykładów źródłowych, a w szczególności zgadzam się z nim najzupełniej, wbrew drowi Maleczyńskiemu i prof. Taubenschlagowi, że nie można w ocenie prawnego charakteru dokumentu, poświadczeniowego czy dyspozytywnego, opierać się na stylizacji w *perfectum* czy *praesens*, lub też na wyrażeniach takich jak *per praesentes*, *praesentibus litteris*, gdyż ta stylizacja i te wyrażenia zależne są od formularza, jakim się posługiwał pisarz, i nie mają wspólnego z prawnym charakterem aktu. W każdym razie nie może być mowy o dokumencie dyspozytywnym w czasach

Laskonogiego i Odonicza, jak to dopuszcza Maleczyński, opierając się na takiej właśnie stylizacji. Jedyne o mandacie i o wyroku książęcym można powiedzieć, że miały one charakter dyspozytywny, przypuszczam też, że te dwa rodzaje dokumentów wywarły niemały wpływ na późniejsze kształtowanie się dyspozytywnego charakteru innych dokumentów książęcych.

Trafne naogół wywody autora na temat stanowiska prawnego dokumentu polskiego w jego najdawniejszych fazach rozwoju pragnę w szczegółach uzupełnić oraz tu i ówdzie sprostować.

Na możliwość istnienia u nas w w. XI dokumentu królewskiego o charakterze dyspozytywnym zwróciłem przed chwilą uwagę. Po upadku królestwa zaczyna się dyplomatyka nasza od pocz. XII w. kształtować na zupełnie nowych zasadach: zachodniego dokumentu prywatnego. Stoi ona zrazu pod znakiem zapiski, czyli — jak ją nazywa prof. Kętrzyński, — notatki aktowej. Zapiski te o charakterze czysto prywatnym, pozbawione też wszelkiej mocy dowodowej przed sądem, przy całej swojej różnorodności formy zewnętrznej i stylizacji mają cel jeden: służą przede wszystkim posiadaczowi do utrwalenia w pamięci pewnych faktów i zdarzeń, między nimi także i czynności prawnych, z którymi związane są jego prawa majątkowe czy uprzywilejowania. Trzeba pośród tych zapisek wyróżnić dwie grupy: jedne z nich notują jedynie goły fakt (nadania, alienacji), niekiedy nawet szerzej opisują samą tylko czynność prawną (np. zapiska lusowska z r. 1146); drugie przywodzą ponadto obecnych przy czynności świadków, a to celem powołania ich w razie potrzeby na świadectwo (np. zapiska kapitulna krakowska z r. 1167); ta druga grupa zapisek — to właściwie *notitiae testium*, które od tamtych odróżnić należy, ale które spadają do ich rzędu automatycznie z chwilą wymarcia świadków, pozostając jedynie zapiskami *pro memoria*.

Od takich to zapisek do właściwych dokumentów przejście jest niedostrzegalne, jak to wykazał trafnie Małecki, a potem dopiero dla dyplomatyki zachodniej Redlich¹⁾. Już niektóre zapiski są przybrane w formy, przypominające dokument, tak zewnętrznie, jak i pod względem stylizacji, różniąc

¹⁾ W kwestji fałszerstwa dokumentów, Kwart. Hist. 1904, str. 426 i nast. Redlich, *Privaturkunden* (1911) str. 92 i nast.

się od nich jedynie chyba redakcją obiektywną. Z drugiej strony zdarzają się już dokumenty nadzwyczaj jeszcze ubogie swą formą, ba nawet nie posiadające niekiedy pieczęci. W ciągu XII w. kształtuje się u nas dokument formalny na wzorach zachodniej dyplomatyki prywatnej, naśladowując nawet niekiedy zewnętrznie dyplom cesarski (jak dokument Bolesława Wysokiego dla Lubiąża z r. 1175). Ale ten rozwój formy zewnętrznej dokumentu nie wpływa w niczem na jego wartość wewnętrzną, i pod tym względem nie różni się on od zapiski, służąc posiadaczowi przedewszystkiem do własnej ewidencji swych uprawnień i tytułów majątkowych. Ten cel dokumentu, mającego służyć tylko *pro memoria*, podkreślają długo jeszcze dokumenty (i to nietylko w zwykłej formule arengi)¹⁾, a nawet przypomina go jeszcze arc. Jakób Świnka w statucie z r. 1285 słowy: *ut dos in perpetuam memoriam habeatur in scriptis*²⁾.

Obok tego celu wewnętrznego, że się tak wyrażę, może taka zapiska czy dokument służyć posiadaczowi jeszcze do czegoś więcej: w stosunku do osób postronnych może mu ona dostarczyć argumentów rzeczowych dla obrony zagrożonych praw, przyczem oczywiście skuteczność takiego środka obrony ograniczona jest pierwotnie tylko do sfery moralnej, nie prawnej, procesowej, w której taki dokument, nawet książęcy, nie posiada zrazu jeszcze żadnej mocy dowodowej, nawet poświadczeniowej, zdolnej do konkurencji ze świadectwem świadków. Taką myśl rozwija i uzasadnia autor Księgi henrykowskiej, który parokrotnie powtarza, że pisze ją w tym celu, aby mniisi 1) *rationem donacionis uniuscuiusque hereditatis cognoscant* (moment ewidencji własnej), 2) *si quis hominum eos quacunq̄ue de causa inpetierit, convenienter et rationabiliter ex consideratione presencium valeant respondere* (moment obrony zagrożonych praw).

Otóż mniemam, że dokument nasz z w. XII a nawet jeszcze z początku XIII, narówni z zapiską, nie wykraczał poza cel, jaki nakreślił opat Piotr pamiętnikowi klasztoru henrykowskiego w połowie XIII w. (1266). Tylko, jeśli idzie o skuteczność zapiski czy dokumentu dla obrony praw w sferze

¹⁾ Komes Racibor w dokumencie dla Mogiły z r. 1230: *ipsum privilegium domino abbati et clastro de Clara Tumba ad maiorem geste rei memoriam retinendam cum villa vendita tradidi* (Kod. Mog., nr 10).

²⁾ Kod. Wpol., I, 551.

moralnej, to wchodzi tu mojem zdaniem w grę jeszcze jeden moment, na który nie zwrócono dotąd należytej uwagi, nie tylko w naszej nauce, ale i w dyplomatyce zachodniej. Mam tu na myśli pewien nacisk moralny, o charakterze bodaj magicznym¹⁾, jaki czy to uroczysta treść zapiski wzgl. dokumentu, czy więcej jeszcze ich postać zewnętrzna mogły wywierać na ludzi naszego wczesnego średniowiecza. Trzeba wczuć się w psychologię tych ludzi, by zrozumieć i pojąć wrażenie, jakie musiała na nich sprawiać klątwa, zawarta w zapisce, umieszczonej na karcie mszału czy innej księgi liturgicznej, klątwa, grożąca karami piekielnymi każdemu, kto by poważił się naruszyć prawa kościoła, zapiską określone. Toż samo powiedzieć można o urocznym wpływie dokumentu, jaki wywierał on całą swoją formą zewnętrzną, uroczystą stylizacją, a przede wszystkim pieczęcią, na której wyobrażona była groźna postać zbrojnego władcy lub osoby duchownej *in pontificalibus*, a więc tak, jak wygłaszał maledykcję ze stopni ołtarza (por. zapiska lusowska), bądź z ręką podniesioną do błogosławieństwa dla godnych benedykcji. I jeśli już w r. 1153 zjawia się u nas dokument rycerza Zbyluta dla klasztoru cystersów w Łeknie, dokument, w którym pogwałcenie nadania umocnione jest niezwykle silnym zaklęciem, wyrzeczonem przez arcybiskupa, widniejącego równocześnie na przytłoczonej do karty pergaminowej wspinałej jego pieczęci, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że chodziło tu o wywarcie tego właśnie moralnego nacisku zapomocą magicznego wrażenia na ludzi czytających i oglądających ten dokument, wrażenia, zdolnego odwrócić niejednego od zamiaru pogwałcenia zawarowanych tym sposobem praw posiadacza dokumentu. W tym to momencie tkwi, mojem zdaniem, pierwotne znaczenie opieczętowanego dokumentu u nas, i tem się tłumaczyć będzie, że do wielu zapisek i dokumentów, pozbawionych pierwotnie pieczęci, przywieszano je później, znacznie nieraz później²⁾. Tym sposobem zapiska czy prymitywny

¹⁾ O znaczeniu magji w prawie rzymskiem ob. Hägerström A., *Der römische Obligationsbegriff im Lichte der allgemeinen römischen Rechtsanschauung I* (Uppsala 1927), na którą to ciekawą pracę zwrócił moją uwagę łaskawie prof. R. Taubenschlag.

²⁾ Tak np. pieczęć biskupia, przywieszona do zapiski kapituły krakowskiej z r. 1167, na co nie zwrócono dotąd uwagi, jest conajmniej o wiele późniejsza (Piekoskiński, *Pieczęcie polskie w. śr.*, nr 39). Poznać to można

dokument bez pieczęci, spisane przez odbiorcę pierwotnie tylko *pro memoria*, uzyskiwały owo znamię plastyczne, nadające temu pismu pewien mistyczny autorytet, który w danym razie mógł służyć posiadaczowi do skutecznej obrony zagrożonych praw.

Stawiając całą tę sprawę pierwotnego znaczenia dokumentu na gruncie prawno-etnologicznym, zmierzam do dalszego wniosku, że tą drogą zapewne poszedł rozwój tego znaczenia, pierwotnie tylko ze sfery przymusu moralnego, w kierunku zdobycia siły dowodowej w sferze już czysto prawnej. Wszak wiadomo, jaką rolę w dawnym procesie polskim (i nietylko polskim) odgrywały pierwiastki mistyczne i emocjonalne (sądy boże, przysięga, formalizm). Otóż w sferę tych czynników emocjonalnych i formalnych wszedł do procesu sądowego dokument ze swoją uroczystą, w ścisłe formuły ujętą redakcją, ze swą sankcją-zaklęciem, ze swoją wreszcie pieczęcią, działającą tak silnie na prymitywny umysł swoim wyobrażeniem postaci boskiej czy ludzkiej, bądź ich symbolu. Powoli więc taki dokument opieczętowany zaczął się przyjmować w sądzie jako środek dowodowy, narówni z przysięgą własną czy przysięgą świadków. W wizerunku na pieczęci widziano samą osobę, którą ona wyobrażała i która przez nią przemawiała, a przez tę asocjację rodziła się w umyśle człowieka myśl o niebezpieczeństwie naruszenia tego, co stanowiło jej nakaz względnie zakaz. Dzięki tej magicznej funkcji zdobywa sobie dokument opieczętowany stanowisko i moc środka dowodowego w sądzie.

Kiedy się ten proces dokonał? Odkąd dokument zyskał ostatecznie stanowisko samodzielnego dowodu w sądzie? Prof. K. sądzi, że stało się to dopiero około połowy XIII w. i że tylko dokument książe y dostąpił tego znaczenia, tak, że nawet bulla papieska nie była wystarczającym dowodem dla księcia i jego sądu. Te dwa twierdzenia autora pozwolę sobie krytycznie omówić.

po śladach rowkowanych słupów z prawej strony postaci siedzącego biskupa, na których opierało się podniebie, występujące na pieczęciach duchownych dopiero na przełomie XIII i XIV w. W XII w. byłby tam niewątpliwie stolec z głowami i łapami zwierząt. Podobnie pieczęć książęca, wisząca u zapiski strzebińskiej w sprawie wsi Węgrzce (po r. 1216) jest podrobiona i później do niej doczepiona. Można też mieć silne podejrzenie, że pieczęć Bolesława Wysokiego przy dokumencie klasztoru lubiąskiego z r. 1175 została później, dopiero w XIII w., podrobiona i doczepiona w tej

Jeśli chodzi naprzód o kwestję czasu, kiedy dokument występuje już jako skuteczny środek dowodowy w sądzie, to można wskazać wypadek taki już w pierwszej połowie XIII w. Mam tu na myśli dokument Henryka Brodatego dla Tyńca z r. 1229¹⁾, który autor wprawdzie zna i o którym wspomina jako o najwcześniejszym tego rodzaju przykładzie, ale odrzuca ten dokument, uważając go — w ślad za wydawcą Kodeksu Tyńckiego — za falsyfikat, skłonny conajwyżej uważać opisany tam fakt za możliwy dopiero w drugiej połowie XIII w. (str. 145). Tymczasem autentyczność wspomnianego dokumentu została bezapelacyjnie obroniona przez Ulanowskiego²⁾, którego pogląd, znając podobiznę dokumentu, najzupełniej podzielam³⁾. Otóż w dokumencie tym opisany jest proces przed sądem księcia między opatem tyńckim a pewnym rycerzem o wieś, przy czem obie strony przedłożyły na dowód swych praw dokumenty, z których dokument rycerza został odrzucony jako fałszywy, a opat na podstawie swego dokumentu uznanego za autentyczny wygrał sprawę. Widać więc z tego przykładu, że już w pierwszej poł. XIII w., zdarzały się wypadki uznania dokumentu w sądzie za wiarogodne świadectwo⁴⁾.

Nie można wszakże zaprzeczyć, że były to jeszcze wypadki sporadyczne i że w tym czasie dokument dopiero powoli wyrabiał sobie to znaczenie dowodowe, jakie później, w drugiej połowie XIII w., bezwzględnie już posiada. Dopoma-

stynnej kuźni falsyfikatów (Por. opis podejrzanego umocowania tej pieczęci u Górkii, Studja nad dziejami Śląska, str. 178 i n.).

¹⁾ Kod. Tyn. nr 7.

²⁾ O założeniu i uposażeniu klasztoru Benedyktynek w Staniątkach. Rozpr. Ak. Umiej. t. 28, str. 6 w przyp. 12.

³⁾ Fotografja w Gabinecie nauk pom. hist. U. J. w Krakowie. Ani pismo ani ogólny wygląd dokumentu nie budzą żadnych zastrzeżeń.

⁴⁾ Przy tej sposobności pragnę podać inną, niż autor, interpretację dokumentu Bolesława Wstydlwego z r. 1258 (str. 143), w którym, jak sądzę, świadkowie nie zostali powołani dla sprawdzenia treści dokumentu testamentowego, lecz dla stwierdzenia, że Bogusza pewne wsie legował katedrze włocławskiej i klasztorowi św. Gotarda (o pisemnym testamencie niema tam mowy), a innemi wsiami rozporządził w sposób, który został spisany w osobnym dokumencie. A więc nie ma tu mowy o sprawdzeniu testamentu Boguszy jako dokumentu prywatnego przez świadków, gdyż testament był niewątpliwie ustny, co wynika z przeciwstawienia go innemu zapisowi, który został spisany.

gał mu w tem niewątpliwie wpływ recepcji pojęć prawnych zachodnich, które już z początkiem XIII w. ze znajomością prawa i rozwojem studjów dość silnie do nas przenikają (Kadłubek), torując między innymi drogę uznaniu dokumentu jako środka dowodowego.

Drugi wniosek prof. K., jakoby bulla papieska jako wydana przez władzę obcą, niekompetentną, nie miała wobec sądu książęcego tego waloru, co dokument książęcy, już na pierwsze wejrzenie budzi pewne wątpliwości, a bliższe zbadanie tekstu, na którym opiera się autor, te wątpliwości jeszcze bardziej potęguje (str. 145 n.). Chodziło o spór między opatem sulejowskim a kilku rycerzami o wieś Bałdrzychów, który toczył się w r. 1261 przed sądem księcia Kazimierza kujawskiego¹⁾. Książę zażądał od opata wykazania, „*a quo vel unde prenominatam possiderent hereditatem*“, chodziło zatem księciu o wskazanie poprzedniego posiadacza, od którego klasztor wieś otrzymał, względnie o tytuł jej posiadania. Na to oświadczył opat, że klasztor posiadał Bałdrzychów zdawien dawna i przedłożył na dowód bullę zatwierdzającą papieża Honorjusza, w której ta wieś była wspomniana. Otóż ten dowód wydał się księciu niedostatecznym, jak sądzę nie dlatego, że była nim bulla papieska — tak to interpretuje autor — jeno z tego powodu, że ta bulla nie dawała odpowiedzi na postawione w sądzie pytanie: od kogo i jakim tytułem klasztor wieś posiadał. Tekst bulli papieża Honorjusza nie był dotąd opublikowany; znam go jednak z rękopiśmiennego kopjarza sulejowskiego. W bulli tej, wydanej 9 maja 1218 r., istotnie Bałdrzychów jest tylko wymieniony między majątkami klasztoru sulejowskiego²⁾ bez wzmianki, od kogo go posiada. Nie dziw przeto że książę uznał bullę za dowód niewystarczający i kazał opatowi przedłożyć dokument Kazimierza Sprawiedliwego, z którego daru klasztor tę wieś posiadał, oraz dokument księcia Konrada w tymże przedmiocie. Tu zatem nie może być mowy o jakiejś *diminutio capitis* bulli papieskiej wobec dokumentu książęcego, i nie ulega wątpliwości, że pod względem swej wartości dowodowej bulla papieska, a nawet — śmiem mniemać —

¹⁾ Kod. dypl. Pol. t. I, nr 49.

²⁾ ... *curtes de Krzyżanow, de Bałdrzychow, de Monte, de Bychin, de Prusinow, de Szczepanow et de Petrow cum appenditiis earundem.*

dokument biskupi, nie ustępowały w drugiej poł. XIII w. dokumentowi książęcemu.

Autor jednak pragnie odmówić dokumentom władz kościelnych, przedewszystkiem biskupim, wszelkiego znaczenia dowodów prawnych wobec władzy świeckiej, księcia czy sądu, i sądzi, że od połowy XIII w. dokument monarszy jest u nas jedynym pełnowartościowym świadectwem, że książę i jego kancelarja posiada pewnego rodzaju monopol na wystawianie takich pełnoprawnych i uznanych świadectw, i nie ma obok niego innego dokumentu, któryby posiadał ten sam, co on, charakter. Na poparcie tej oryginalnej tezy przytacza autor jako dowód to, że książęta i ich kancelarje przyjmują do transumowania prawie wyłącznie dokumenty monarsze (swych książęcych poprzedników), że zatem te jedynie dokumenty cieszyły się w oczach najwyższej władzy pełnem zaufaniem, pełną wierzytelnością, one jedynie były pełnoprawne wobec księcia, jego kancelarji czy sądu. Autor twierdzi stanowczo, że „żaden dokument wystawiony przez obcą władzę, nieksiążęcą, nie bywa transumowany ani w formie vidimus ani w formie insertu“ (str. 154).

Trzeba jednak zwrócić uwagę, że tezę tę osłabia przytoczenie zarówno w tekście, jak więcej jeszcze w przypisach, całego szeregu wyjątków, których poczet dałby się jeszcze pomnożyć. Tak np. mówiąc wyraźnie na str. 152, że „na całej przestrzeni XII, XIII i XIV w. nie spotykamy się z przykładem, by dokumentem książęcym transumowano czy bullę papieską, czy dokument legacki“, lub dokument biskupi czy innych władz kościelnych, co wedle autora leżało poza kompetencją księcia, przytacza on następnie szereg takich transumptów, choćby przypomnieć znany transumpt dokumentu legata Idziego dla Tyńca przez Bolesława Wstydlivego z r. 1275; okoliczność bowiem, że ten czy inny transumowany przez księcia dokument kościelny okazał się dziś falsyfikatem, nie przesądza o samym fakcie transumowania dokumentów, które wówczas, w chwili transumowania, uważano za autentyczne. Podobnie też przytacza sam autor kilka przykładów transumowania przez księcia dokumentów prywatnych z XIII i XIV w. (str. 154), z czego przecież okazuje się może, że nie należało formułować tej tezy tak stanowczo jak to uczynił autor („żaden dokument“, „nie spotykamy się z przykładem“ i t. p.). Wedle mego zdania książę z mocy swojej zwierzchniej władzy i swego

najwyższego autorytetu mógł transumować każdy dokument, nie tylko w zakresie prawa zwyczajowego polskiego, czy też prawa ziemskiego, jak sądzi autor, nie tylko w zakresie tych praw, które sam nadał lub przyznał, a transumowanie dokumentów kościelnych przez księcia zgoła nie było wkraczaniem w cudzą kompetencję, jak niem było widymowanie dokumentów książęcych przez biskupów, na co autor też przytacza przykłady (str. 151), przyczem nie można wątpić, że te widymaty miały swą wartość nie tylko przed sądami duchownymi ale i świeckimi.

Że transumpty książęce dokumentów monarszych stanowią tu największy, ogromnie przeważający odsetek, jest rzeczą zrozumiałą, ale, jak sądzę, nie dlatego, że te tylko dokumenty cieszyły się w oczach najwyższej władzy pełnem zaufaniem, pełną wierzytelnością jako jedynie pełnoprawne wobec księcia (str. 154), jeno z tego powodu, że odbiorcom szczególniej zależało na posiadaniu zatwierdzeń dokumentów książąt przez ich następców, którzy często byli skłonni nie respektować nadań i darowizn swych poprzedników, czego żywy obraz daje nam chociażby Księga henrykowska. Dla odbiorcy jedyną gwarancją ochrony swych dawnych praw i przywilejów było zatwierdzenie ich przez każdorazowego władcę i tem się jedynie tłumaczy ta wielka ilość transumptów i potwierdzeń dokumentów monarszych przez książąt, co dla dokumentów kościelnych czy prywatnych nie było już tak potrzebne.

Trudno mi też zgodzić się ze zdaniem prof. K., jakoby książę był jedyną instancją, uprawnioną do uwierzytelniania cudzych czynności prawnych (str. 158), jakoby w ciągu całego XIII w. nie było czynnika, któryby księcia w wystawianiu dokumentów zastępował lub substytuował, jakoby nie było osób i godności, któreby poza nim posiadały prawo przyjmowania zeznań osób trzecich i spisywania na tej podstawie dokumentów, mających charakter publiczności (str. 157), jakoby wogóle tylko jeden książę posiadał *sigillum authenticum*. Sformułowana w ten sposób teza pozostaje w pewnej niezgodności z tem, co wiemy o genezie *sigilli authentici* jako instytucji wyrosłej na gruncie prawa kanonicznego, usankcjonowanej znanym dekretem papieża Aleksandra III *de fide instrumentorum* i opartej na wysokim autorytecie moralno-prawnym osób i instytucji duchownych, przedewszystkiem biskupów i kapituł,

autorytetu, wykraczającego poza ramy forum kościelnego i wchodzącego w kompetencję świecką. Wiemy, że na Zachodzie w XIII w. pieczęcie takie *habent fidem in alienis negotiis*¹⁾, a na Węgrzech kapituły i konwenty już wcześniej, bo na przełomie w. XII i XIII, zdobyły sobie stanowisko t. zw. *loca credibilia*. Jeśli o Polskę chodzi, to niebrak wczesnych już wypadków uwierzytelniania przez biskupów czynności prawnych osób trzecich, poczynając od znanego dokumentu Zbyluta dla Łekna z r. 1153, opatrzonego pieczęcią arcybiskupa Jana, któremu to dokumentowi jednak autor odmawia wartości świadectwa i traktuje go pod tym względem narówni z zapiską (notatką aktową, str. 199). Sam też autor przytacza w przypisach szereg przykładów wystawiania dokumentów w sprawach osób trzecich przez biskupów i kapituły, widymowania nawet książęcych dokumentów przez osoby duchowne²⁾, lub poświadczania i przywieszania do nich swych pieczęci *ut scriptum verum et certum sit*. Autor wprawdzie ogranicza te wyjątki do Małopolski, tłumacząc to zjawisko odmiennymi tam niż w innych dzielnicach warunkami w okresie walk o tron krakowski, gdzie społeczeństwo wywalczyło sobie pewną dozę samodzielności, ale równocześnie przytacza niezmiernie charakterystyczny przykład wystawienia dokumentu w sprawie cudzej przez kapitułę łączycką w r. 1267, do której zwraca się o to strona, prosząc o zastępstwo ciężką niemocą złożonego księcia. Okazuje się stąd, że kapituła przeciw mogła zastąpić księcia i wystawić dokument równej mocy prawnej, który też niewątpliwie i przed świeckimi władzami miał *fidem publicam*³⁾. Już tych parę przykładów uwierzytelniania czynności prawnych osób trzecich przez osoby i instytucje duchowne nie dopuszcza tak stanowczego sformułowania poglądu, jakie czytamy w „Zarysie“, że „wypadki, by władzę książęcą zastąpiła inna instytucja, np. kościelna, nie zdarzają się nigdy“ (str. 158). Nie

¹⁾ Redlich, Privaturkunden, str. 112; Boüard, Manuel de diplomatique, str. 360 n.

²⁾ Np. str. 151, przyp. 1; str. 158, przyp. 2; str. 159, przyp. 1; str. 161, przyp. 2.

³⁾ Podniesiony przez autora fakt, że kapituła przystąpiła do spisania dokumentu dopiero po naradzie „communi habito consilio“, nie jest czemś wyjątkowym, jak to mniema autor, który całą tę sprawę uważa za niezwykłą, ale jest rzeczą zupełnie normalną, gdyż wszelkie wystąpienia kapituły odbywały się na podstawie wspólnej jej uchwały.

mógłbym też stwierdzonego przez autora w Małopolsce w w. XIII faktu wystawiania dokumentów w sprawach osób trzecich przez wojewodów uważać za zjawisko czysto lokalne, związane ze specjalnymi tej dzielnicy stosunkami, lecz mniemam, że wynika ono prosto ze stanowiska wojewody jako zastępcy księcia, a brak takich dokumentów wojewodzińskich z Wielkopolski może być czysto przypadkowy i wnioski stąd dalsze wysnuwać dość trudno.

Z tem wszystkim poglądu autora na zakres podmiotowy *sigilli authentici* ciężko byłoby bronić i jeśli autor, uzasadniając swą tezę o wyłączności praw księcia w tym zakresie, powołuje się na arenę dokumentu Bolesława Wstydlivego z r. 1246, w którym powiedziano, że tylko *principes nobiles* mają prawo do *sigillum authenticum*, to trzeba zwrócić uwagę, że pod pojęcie *principes* dokumenty nasze podciągały także wyższych duchownych, przedewszystkiem biskupów, jak świadczy dokument Władysława Odonicza, wydany na synodzie borzykowskim w r. 1210¹⁾. W koroboracji tego dokumentu zapowiada książę, że uwierzytelnia go przywieszeniem *sigilli nostri et principum, coram quibus hec facta sunt*; otóż u dokumentu wisi siedm pieczęci, wszystkie biskupie, z czego wniosek, że dokument pojęciem *principes* określił tu biskupów. Ale co więcej: brak przy tym dokumencie zapowiedzianej pieczęci księcia czyż nie stanowi dowodu, że uważano pieczęcie biskupów na dokumencie książęcym za zupełnie wystarczające do jego uwierzytelnienia, wobec czego nie kwapiono się już z dodaniem pieczęci książęcej? Autor podnosi wprawdzie wątpliwości, czy taki dokument książęcy bez pieczęci wystawcy mógł mieć wartość dowodową w końcu XIII w., np. w kancelarji Przemysła II (str. 201), ale sądzę, że ta rzecz nie może tu wchodzić w rachubę, gdyż oczywiście wymogi prawnodiplomatyczne z biegiem czasu ulegały zmianom, a chodzi o to, że w czasie, kiedy akt borzykowski powstał, *sigilla authentica* biskupów polskich czyniły zbędnem przywieszenie pieczęci książęcej.

Dlatego może wypadało nieco ostrożniej wyrazić orzeczenie, że na całej przestrzeni XIII w. właściwie jeden książę posiada *sigillum authenticum* (str. 162). Nie da się to w każ-

¹⁾ KWp. t. I, nr 66.

dym razie powiedzieć o pierwszej połowie XIII w., kiedy dokument książęcy jeszcze nie zdobył sobie stanowiska pełnowartościowego świadectwa. Świadczy o tem choćby fakt przywieszania niekiedy na dokumentach książęcych, obok pieczęci samego wystawcy, pieczęci wysokich dygnitarzy duchownych (biskupów) bądź świeckich (kasztelanów, wojewodów), celem lepszego uwierzytelnienia dokumentu (*in assercione veri fidei, ad cautelam*), co zdarza się nawet, jak wykazuje autor, jeszcze w drugiej połowie XIII w. (str. 195). Gdyby rzeczywiście pieczęć książęca była jedynym *sigillum authenticum*, jak to mniema autor, nie widzielibyśmy powodu takiego pomocniczego uwierzytelniania dokumentów książęcych zapomocą pieczęci postronnych. Analogja stosunków zachodnich przemawiałaby raczej za tem, że zakres podmiotowy *sigilli authenticici* w ciągu XIII w. znacznie się rozszerzył, tak że wniosek autora, iż „w drugiej połowie XIII w. staje się książę przez swój dokument, przez swoje *sigillum authenticum* jakby jedynym notariuszem publicznym, działającym na obszarze swego księstwa“, wymagałby pewnego ograniczenia.

Pomijam tu z wyżej podanych względów omówienie bardzo ciekawego rozdziału V, gdyż śledzi on już dalszy rozwój dokumentu polskiego w w. XIV i XV¹⁾, i przechodzę do następnego rozdziału VI, który zajmuje się stadjami przedwstępnymi dokumentu, złączonemi z czynnością prawną.

Autor, wyszedłszy z założenia, że wstępem stadjum i podstawą każdego dokumentu (nb. *sensu stricto*) musi być czynność prawna, rozpatruje te jej strony i warunki prawności, które znajdują odbicie w dokumencie, w jego treści i formularzu. Do tych warunków słusznie zalicza przedewszystkiem jawność i publiczność czynności, spełnianej w obecności świadków, najczęściej na miejscach zjazdów wobec licznie zgromadzonych tłumów, którym treść akcji prawnej głośno obwieszczano, a niekiedy dodatkowo jeszcze, już po załatwieniu czynności prawnej a nawet po spisaniu dokumentu, podawano do

¹⁾ Pozwalam sobie tylko nadmienić, że uwagi autora o badaniu autentyczności dokumentu w związku z pracą dra S. Mikuckiego na ten temat, znaną autorowi jeszcze tylko z krótkiego streszczenia w Spr. P. A. U., uległyby zapewne dziś w pewnych szczegółach modyfikacjom, po ukazaniu się w druku tej pracy p. t. Badanie autentyczności dokumentu w praktyce kancelarji monarszej i sądów polskich w. śr. (Kraków 1934).

wiadomości publicznej. Publikacja ta miała szczególne znaczenie przy wszelkich transakcjach nieruchomością ze względu na skutki prawa retraktu. Mam tylko pewne wątpliwości, czy można utożsamiać, jak to czyni autor (str. 253), pojęcia i funkcje występujących często w dokumentach pośredników: jednaczy, mediatorów, prokuratorów i prawidlników. Chyba co innego byli w procesie jednacze, *arbitri*, odgrywający rolę przy polubownem załatwieniu sporu, co innego *procuratores* jako zastępcy procesowi stron, co innego znów *mediatores*, którzy działają w toku procesu z ramienia sędziego; chyba tylko tych ostatnich możnaby identyfikować z prawidlnikami. Czy pewne formy symboliczne, stosowane u nas przy czynnościach prawnych, a których właściwego znaczenia i rozpowszechnienia, zdaje mi się, autor nie dość docenia, służyły tylko do uzmysłowienia i utrwalenia w pamięci świadków treści i istoty czynności, były więc jedynie dla nich środkiem mnemotechnicznym, pozwoliłbym sobie także wątpić. Formalistyka i symbolika, jakkolwiek w samych dokumentach znajduje dość słabe echo, nierównie silniej występując w innych naszych pomnikach prawa, jest najściślej związana z utwierdzeniem czynności prawnej, której stanowi część nieodłączną o głębokiem znaczeniu sakralnem¹⁾; funkcja, którą jej przypisuje autor, może mieć jedynie drugorzędne, pośrednie znaczenie.

Natomiast bardzo cenne są uwagi autora o znaczeniu klątwy, służącej we wcześniejszym okresie do dodatkowego zabezpieczenia działanej czynności prawnej, oraz o ewolucji, jakiej klątwa z rozwojem znaczenia dokumentu uległa, wychodząc z użycia z chwilą, kiedy dokument formalny stał się sam wystarczającym prawnie środkiem dowodowym.

Rozważania autora na temat prośby czy żądania przez stronę spisania dokumentu oraz obecności późniejszego pisarza przy czynności prawnej i pewnych jego tam działań przygotowawczych stanowią przejście do następnego rozdziału (VII), który zajmuje się sprawą samego już spisania dokumentu i sprawą konceptu.

Pierwszem stadjum powstania dokumentu jest zgoda wystawcy, ktorej wyrazem, zwłaszcza już w okresie istnienia

¹⁾ Estreicher St., Początki prawa umownego. Rozpr. Ak. Um. Wydz. hist. fil. t. 41, str. 334 i n.

urządzeń kancelaryjnych, jest rozkaz wystawcy spisania dokumentu. Ten rozkaz wystawcy mógł być ustny lub pisemny. Najwcześniejszy znany przykład wystawienia dokumentu na podstawie nakazu pisemnego wykrywa autor w czasach Ludwika Węgierskiego: dwa dokumenty tego króla dla miasta Krakowa, wydane w Wyszehradzie na Węgrzech d. 6 sierpnia 1372 r., mają pod zakładką notatkę: *Ad litteratorium mandatum domini regis*. Takie notatki mają także inne dokumenty Ludwika, pochodzące z kancelarii węgierskiej¹⁾, chodzi więc o to, czy dokumenty wspomniane wyszły z kancelarii węgierskiej, czy rozkaz królewski był przesłany do kancelarii polskiej Elżbiety, w pierwszym bowiem razie należałoby je wyeliminować z dyplomatyki polskiej, do której zresztą nie należą już swoim dyktatem, właściwym kancelarii węgierskiej. Otóż na podstawie autopsji tych dokumentów, przechowanych w Archiwum miasta Krakowa, wypadnie mi ich sporządzenie przypisać kancelarii węgierskiej²⁾, a tem samem przejść do porządku nad tym najdawniejszym śladem pisemnego rozkazu spisania dokumentu w Polsce, przesuwając jego pierwsze zjawienie się o wiek później, w czasy Kazimierza Jagiellończyka (str. 276).

Pewne wątpliwości budzi przypuszczenie autora, że jeśli czynność prawna zdziałana została przez księcia na wiecu w obecności i za zgodą baronów, w późniejszych zaś czasach wobec asesorów lub na radzie królewskiej, wówczas na sporządzenie dokumentu nie potrzeba było specjalnego rozkazu monarszego (str. 278/9). Same dokumenty nie uprawniają do

¹⁾ Szentpétery I., *Magyar oklevéltan*, str. 174/5. Prof. K. słusznie zauważa, że jedynie autopsja oryginałów, których bliżej nie badał, mogłaby tu rozstrzygnąć o tem, która z kancelaryj, węgierska czy polska, otrzymała to pisemne polecenie królewskie.

²⁾ Zarówno rodzaj pergaminu, jak linjowanie i sposób przywieszenia pieczęci są w tych dwóch dokumentach takie same, jak na innych dokumentach Ludwika Wielkiego, a zgoła różne od współczesnych dokumentów Elżbiety (z 18 i 20 lipca 1372 w temże Archiwum m. Krakowa). Również i w piśmie obu dokumentów Ludwika dadzą się wykryć (jakkolwiek pisane są innemi rękami) pewne cechy, wspólne pismu innych dokumentów tego króla a szczególnie zgodne z pismem dokumentu Ludwika z 25. II. 1368, spisany niewątpliwie w kancelarii węgierskiej w czasie, gdy był jeszcze tylko królem Węgier. Niemniej też widniejący na tych dokumentach zapisek kancelaryjny: *perlecta a correctore* wskazuje na kancelarię węgierską.

takiego wniosku, sędzę zaś, że decyzja książęca czy królewska w sprawie akcji prawnej, nawet z aprobatą czynnika społecznego, nie może przesądzać o dokumentacji, która przecież bez specjalnej zgody wystawcy dokonać się nie mogła. Głośna sprawa z r. 1420, gdzie król Władysław Jagiełło zarzucił kanclerzowi Wojciechowi Jastrzębcowi, iż wystawił dokument bez upoważnienia królewskiego, przemawia raczej za tem, że taki rozkaz był koniecznym, a kanclerz popełnił w tym wypadku nadużycie; tylko nie można odwrócić sprawy i powiedzieć, że rozkaz królewski w każdym wypadku musiał być wykonany. Tu kanclerz (z w. XV) stał na straży prawa i mógł odmówić dokumentacji w razie, jeśli rozkaz królewski był niezgodny z prawem (sprawa tytułu hrabiowskiego dla Pileckich), w którym to kierunku konstytucja z r. 1504 wyraźnie ograniczyła prawo króla do wydawania takiego rozkazu.

Przechodzę do konceptu. Dopiero z XV w. dochowały się oryginalne minuty w księgach metrycznych, koronnych i mazowieckich. Przykłady, które autor przytacza z wcześniejszych czasów, nie wydają mi się być konceptami w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zapiska dorsalna na dokumencie skaryszowskim księżnej Grzymisławy z r. 1228, spisana inną ręką niż tekst dokumentu, nie może być jego konceptem, sporządzona bowiem została już po spisaniu dokumentu; treścią zapiski jest późniejsze zatwierdzenie aktu sprzedaży Dzierzkowic przez sprzedawczynię i jej krewną wobec opola, celem tem pewniejszego umocnienia jej i zabezpieczenia przed retraktem, przyczem jest tu wzmianka o dodatkowem sprzedaniu innej części Dzierzkowic tym samym nabywcom. Jest ta zapiska niejako dopełnieniem głównej treści dokumentu i ma podobny charakter, jak zapiski na znanym dokumencie łekneńskim z r. 1153, które, jak to trafnie Małeck i wskazał, zostały tam później umieszczone dla nadania im powagi, spływającej z formalnego aktu i splendoru pieczęci. — Ciekawym przykładem ułatwiania sobie pracy przy pisaniu dokumentu jest przytoczony przez autora dokument oględowsko-chrobowski z r. 1254 z notatkami i dopiskami, które miały służyć następnie do spisania dokumentu zawichojskiego; tylko wątpię, by te notatki miały już zastąpić pisarzowi formalny koncept, lecz raczej sędzę, że posłużyły mu do sporządzenia konceptu, na podstawie którego dopiero spisał dokument zawichojski, bądź co bądź odbiegający w dyktacie swym w wielu

miejskach od dyktatu dokumentu ogłędowsko-chroberskiego. — Również i dokument Przemysła II z r. 1284 nie jest ani konceptem, ani nawet niewykończonym oryginałem, ale, jak mogłem stwierdzić, zupełnie normalnym czystopisem znanej ręki notariusza książecego Tiloną. Jedynie zatem dwa dokumenty Jana biskupa płockiego z r. 1317 mogłyby być oryginalnymi konceptami, lecz bez autopsji trudno tu coś pewnego powiedzieć.

Wskazane przez autora nieliczne bezpośrednio wzmianki o konceptach z wcześniejszych czasów (str. 284) też nie całkiem są pewne, gdyż *dictare*, *compilare*, jak i *notare* może także oznaczać sporządzenie tekstu dokumentu wogóle, i bez pomocy konceptu. Pierwsza więc wyraźna wzmianka o minucie, jaką autor przywołuje, pochodzi dopiero z r. 1420, jest zatem dosyć późna.

Pewniejsze natomiast są pośrednie ślady użycia konceptu w postaci błędów, jakie powstają przy bezmyślnem przepisywaniu lub niezrozumieniu tekstu przez ingrosatora, kopjującego czystopis z konceptu. Tu przytoczył autor cały szereg ciekawych przykładów z XIII—XV w., z których przeważna część¹⁾ wskazuje na posługiwanie się konceptem (str. 286—8). Inne sposoby wykrycia konceptu (różnice pomiędzy poszczególnymi egzemplarzami tego samego dokumentu, pochodzenie dyktatu i czystopisu od innych osób) omawia autor wyczerpująco i objaśnia szeregiem przykładów²⁾. Niemniej cenne są uwagi autora na temat t. zw. wzoru dokumentowego (*Vorurkunde*) jako podstawy dla ingrosowania nowego dokumentu, jakkolwiek nie wszystkie przykłady tu przytoczone dadzą się odnieść do ko-

¹⁾ Rzekomy błąd w dokumencie Pakosława z r. 1237 *ad optando* (zam. *adoptando*) napewne nie jest błędem, ale znaną i częstą manierą piarską, jak to zresztą dopuszcza autor w przypisie. W dokumencie Kazimierza kujawskiego z r. 1233 niema „*se incursum non verit*“ jak podaje autor za Kochanowskim (KDMaz. X, 328), ale zupełnie poprawnie „*no-verit*“, co na podstawie autopsji poprawiłem w recenzji Kodeksu d. Maz. w Kwart. Hist. XXXVII, str. 165 (co też autor w przypisie cytuję, dając jednak w tekście większą wiarę lekcji Kochanowskiego).

²⁾ Część przykładów zaczerpnięta z pracy K. Maleczyńskiego, Studja nad kancelarją i dyplomami Odonicza i Laskonogiego, bez uwzględnienia jednak trafnych w szeregu wypadków uwag recenzji dr. Z. Budkowej w Kwart. Hist. XLIII, str. 46—61, którą autor wprawdzie zamieszcza w spisie literatury, ale w samej pracy widocznie z niej nie korzysta,

rzystania z wzoru dokumentowego ¹⁾). Przy objaśnieniu niezgodności w redakcjach przywileju brzeskiego z r. 1425 należało uwzględnić analogiczne różnice redakcyjne przywileju jedlneńskiego z r. 1430 i trafne spostrzeżenia prof. Kutrzyby ²⁾, wyjaśniające genezę tych różnic redakcyjnych w przekazach tekstu przywilejów tego rodzaju.

W dalszym ciągu poświęca autor obszerny ustęp kwestii używania w Polsce formularzy i wpływów obcych w tym zakresie. Opiera się tu głównie na wynikach ostatnich prac prof. Taubenschlaga o „Formularzach czynności prawno-prywatnych w w. XII i XIII“ oraz dra Maleczyńskiego o „Wpływach obcych na dokument polski w. XII“, nie szczędząc jednak obu tym pracom słusznych uwag krytycznych, dotyczących się metody tego rodzaju badań (str. 299 przyp. 2). Podzielam najzupełniej pogląd prof. K., że obaj ci autorowie grzeszą przecenieniem niekiedy wpływów formularzowych i zbyt formalistycznie traktują podobieństwa formuł, a przywiedzione przez prof. T. ślady podobieństwa są często zbyt drobne i niewyraźne, aby mogły służyć za całkiem pewną podstawę do wyrokowania o wpływie i bezpośredniej zależności od danego formularza. Nie zwrócono natomiast u nas dotąd należytej uwagi na wpływy wzorów dokumentowych, t. zn. na przejmowanie pewnych formuł za pośrednictwem nietylę gotowych formularzy, ile napływających do nas dokumentów obcych, przedewszystkiem papieskich, jak niemniej na przeszczepianie formuł dzięki związkom klasztorów-odbiorców ze swemi macierzami zagranicznymi, skąd takie wzory mogły być czerpane, nawet bez pośrednictwa właściwych formularzy, ale wprost z dokumentów. Tak np. formuły najdawniejszych dokumentów lubiąskich z lat 1175 i 1177 noszą wyraźne ślady wpływu formularza współczesnych dokumentów macierzystego klasztoru w Porcie, na których dokumenty lubiąskie bezpośrednio się wzorowały tak pod względem znamion zewnętrznych jak i dyktatu ³⁾. Badając przeto

¹⁾ Mam np. pewne zastrzeżenia co do stosunku dokumentów Przemysła II z r. 1277 dla Lubinia i Paradyża do dokumentu Przemysła I z r. 1257 dla Lubinia, który autor uważa za wzór dokumentowy dla tamtych dwóch. Pewne zgodności formuł tych dokumentów odnieść raczej wypadnie do wspólnego formularza niż do wzajemnej ich zależności.

²⁾ Przywilej jedlneński z r. 1430 i nadanie prawa pol. na Rusi (Księga ku czci B. Ulanowskiego).

³⁾ Górka O., Studja nad dziejami Śląska, str. 154 i nast.

formularz dokumentów danego klasztoru, zwłaszcza najdawniejszych, fundacyjnych, należy sięgać zawsze do współczesnych dokumentów ich macierzy i na tej przede wszystkim drodze szukać wpływów obcych na dokument polski; w jednym wypadku tego rodzaju badanie przynieść może cenne wyniki.

W uzupełnieniu badań Taubenschlaga i Maleczyńskiego czyni autor szereg własnych spostrzeżeń, objaśniając je przykładami źródłowymi. Między innymi stawia tezę, że jeśli w dyktacie danych grup dokumentowych, czyto grup odbiorców czy wystawców, występują w dłuższych okresach czasu pewne stałe powtarzające się formuły, zwroty czy wysłowienia, przyjęć trzeba pochodzenie ich raczej z formularza niż przypisać je dyktatowi indywidualnemu pisarza. Słuszna ta uwaga wymaga jednak pewnego zastrzeżenia: jeśli chodzi o dokumenty, należące do grupy odbiorcy, więc klasztorne czy kościelne, to niekoniecznie przyjdzie wiązać te wspólności i podobieństwa w ich dyktacie z używaniem podręcznego formularza, ale w wielu wypadkach przyjęć trzeba będzie tradycję lokalną, czerpanie tych formuł wprost z zasobu dokumentów przechowanych w archiwum danego odbiorcy. Inaczej w grupach wystawcy: tam trwale utrzymujące się formuły już raczej dowodzą wzorowania się na podręcznych formularzach, jakkolwiek i tam nie można wyłączyć w poszczególnych wypadkach wzoru dokumentowego (por. przytoczony na str. 304 przykład przywileju żydowskiego Bolesława Pobożnego).

Bystre i trafne są spostrzeżenia autora o sposobie korzystania pisarzy z formularzy przy koncytowaniu dokumentów, oraz o błędach, jakie wskutek nieumiejętnego i zbyt niewolniczego posługiwania się formularzem wkradają się nieraz do tekstów dokumentowych, tylko że nie wszystkie przykłady, przytoczone na poparcie tych spostrzeżeń, dadzą się tu przyjąć i uznać. Jeśli dokument starosty króla Wacława II z r. 1295 mówi raz o sędzie *domini regis* a nieco dalej nazywa komornika *camerarius ducalis*, to, zdaniem mojem, nie jest to bynajmniej błąd pisarza, wynikły z oparcia się o formularz książęcy, ale zupełnie świadome przeciwstawienie pojęcia takiego komornika jako urzędnika ziemskiego, książęcego (wszak Wacław tytułuje się w dokumentach współczesnych *rex Bohemorum, dux Cracoviae*), pojęciu komornika królewskiego, jak traf-

nie wyjaśnił Balzer¹⁾. Podobnie w dokumencie Kazimierza W. z r. 1335 zdanie „*litteras patentes Stephani olim capitanei Poloniae pii genitoris nostri*“ wcale, jak sądzę, nie zawiera pomyłki pisarza, który wedle autora nazwał tu rzekomo Stefana Pękawkę ojcem Kazimierza W., gdy można to zdanie rozumieć tylko tak, iż Stefan był starostą „śp. ojca naszego“ t. j. Władysława Łokietka. Również określenia użyte w dokumentach Kazimierza W. dla ziem ruskich, w szczególności tytuł raz *regnum Russiae*, drugi raz *regnum Poloniae* na oznaczenie tych ziem, podobnie jak i wzmianki o *iura polonica* na Rusi, niekoniecznie musiały się tam dostać z formularza (przeznaczonego dla dokumentów polskich, lecz wyrażenia te nawet w dokumencie przeznaczonym dla Rusi dadzą się całkowicie usprawiedliwić względami, które przytoczył Balzer w „Królestwie Polskiem“²⁾).

Że koncept już w XIII i XIV w. był kontrolowany i zatwierdzany przez wystawcę względnie powołany do tego jego organ, to rzecz prawdopodobna, choć niekoniecznie powszechna; w każdym razie dokumenty nasze nie dostarczają na to bezpośrednich dowodów. Tych kilka przykładów, które autor przytoczył jako najogólniejsze w tym względzie wskazówki, również wyraźnych dowodów na to nie zawiera. Jeśli Bolesław mazowiecki poleca tekst dokumentu swego dla Jeżowa z r. 1278 odczytać w obecności swojej, swych synów i baronów, *ne quis super hiis omnibus premissis quoquomodo dubitet*, to napewne nie odczytywano tu konceptu, aby go zaaprobować dla ostatecznego ustalenia brzmienia dokumentu, jak mniema autor, lecz raczej gotowy już oryginał (w którym *a priori* o odczytaniu takim celowo uczyniono wzmiankę), na to, by wolę księcia podać do publicznej wiadomości i tem lepiej zabezpieczyć przywilej przed ewentualnem naruszeniem czy niepokojeniem (szczególnie ze strony tych, którzy byli przy tem czytaniu obecni). Przykład więc powyższy zaliczyć wypadnie do publikacji gotowych dokumentów, o jakiej autor wspomina na str. 260, raczej nawet niż do rewizji czystopisu, a już zgoła nie do kontroli konceptu. Podobnie też w drugim przypadku, przytoczonym przez autora, nie ma mowy o odczytaniu pu-

¹⁾ Balzer O., Królestwo Polskie, t. II, str. 52.

²⁾ Tamże, str. 488 i n.

blicznem konceptu. Chodzi tu o *vidimus* dokumentu biskupa kujawskiego Wolimira z r. 1273 w sprawie przypisańców z Gacowa, wystawione przez biskupa Wisława w r. 1292. Otóż jeśli w widymacie tym jest mowa o odczytaniu dokumentu, aby zapobiec podszywaniu się tych przypisańców pod wolnych, to należy rozumieć, że odczytany i przetłumaczony został oryginalny dokument biskupa Wolimira, nie zaś koncept jego widymatu. Jeśli w wyroku sądu kanonicznego gnieźnieńskiego z r. 1292 powiedziano: *lata autem est hec sententia pre foribus ecclesie Gneznensis*, to nie chodziło tu o odczytanie wyroku czyto z oryginalnego dokumentu, czy z konceptu, ba nawet z zapiski, która miała służyć jako substrat dla konceptu i dokumentu, ale po prostu o ustne ogłoszenie wyroku, nawet bez pośrednictwa zapiski czy konceptu, przeznaczonego do spisania dokumentu. Jedynie tylko ostatni przykład dokumentu biskupa krakowskiego Bodzanty z r. 1364 mógłby świadczyć, że koncept tegoż został przed sporządzeniem czystopisu przedłożony i odczytany kapitule, celem zatwierdzenia jego treści.

W rozdziale VIII zajmuje się autor sprawą spisania dokumentu czyli czystopisu. Stwierdza przedewszystkiem, że „o ile dotychczasowe badania mogły to sprawdzić, przeważnie ten, kto ingrosował dokument, bywał i jego koncypientem“ (str. 324). W ten sposób sformułowane twierdzenie wymaga jednak zastrzeżenia, że tak było w okresie uregulowanych już stosunków kancelaryjnych, jak to zresztą autor zaznaczył w innym związku poprzednio (str. 290), przytaczając przykłady na fakt, że w okresie spisywania dokumentów przez odbiorców zasada ta nie ma zastosowania; w całym też szeregu przypadków da się stwierdzić, że kto inny był koncypientem a kto inny ingrosatorem (str. 291). Natomiast niezupełnie rozumiem zdanie autora, że „zawsze ingrosator sam własnoręcznie spełniał czynności sporządzenia czystopisu“ (str. 324), boć kto nie pisał własnoręcznie dokumentu, nie może być nazywany jego ingrosatorem.

Czystopis musiał oczywiście podlegać rewizji i kontroli ze strony wystawcy; mam tylko wątpliwości, czy można do takiej kontroli zaliczyć przykłady, które autor przytacza z aktów kapitulnych, a które świadczą, że kapituła aprobowwała treść dokumentu i przywieszała doń swą pieczęć. Kapituła nie jest wystawcą dokumentu, tylko biskup, do niego więc należała

kontrola i ostateczna aprobata czystopisu jako formalna funkcja dyplomatyczna; kapituła korzysta tylko ze swego prawa udzielenia konsensu na treść dokumentu i z tego tytułu bada jego tekst oraz przywiesza pieczęć. Należałoby więc te dwa pojęcia i te dwie funkcje: a) dyplomatyczną biskupa jako wystawcy, aprobującego czystopis dokumentu i b) prawną kapituły, dającej zgodę na meritum dokumentu, wyraźnie rozróżnić.

Przeprowadzenie kontroli czystopisu można także stwierdzić na samym oryginale, pozostawia ona bowiem ślad po sobie w poprawkach i dodatkach oraz w pewnych znakach czy zapiskach kancelaryjnych. Oczywiście dokładne zbadanie oryginału lub przynajmniej jego reprodukcji stanowi główną podstawę jakichkolwiek wniosków, oparcie się bowiem na wydawnictwach tu zawodzi z tego powodu, że dawniejsi wydawcy nie zwracali wcale, lub w niewielkiej tylko mierze, uwagę na te „drobiazgi“, które jednak dla dyplomatyka mają duże znaczenie. Autor podczas swych prac w zakresie dyplomatyki poczynił wiele spostrzeżeń, które obecnie zużytkował w tym rozdziale swej książki, przeważnie jednak musiał się oprzeć bądź na niedokładnych często wskazówkach wydawców, bądź na obcych opracowaniach (jak dokumentów Laskonogiego i Odonica przez K. Maleczyńskiego), na których jednak niezawsze można w całej pełni polegać¹⁾.

Dlatego żałować trzeba, że autorowi nie było danem przed napisaniem tego rozdziału zbadać krakowskie zbiory fotograficzne, które mogły dostarczyć mu sporo nowego materiału, a zarazem ustrzec przed pewnymi omyłkami, wynikłymi z oparcia się na relacjach z drugiej ręki.

Dotyczy to w pierwszym rzędzie kwestji pojawiania się na czystopisach naszych dokumentów pewnych specjalnych znaków kontroli, jako wyraźnych już śladów udziału uprawnionej przez wystawcę osoby w rewizji i aprobacie czystopisu. Autopsja podobizny dokumentu Przemysła II z r. 1290 dla miasta Wieliczki stwierdza, że w zapisce na zakładce niema zgoła dostrzeżonych przez Krzyżanowskiego greckich liter $\pi\rho$, jako rzekomo pierwszych liter imienia kanclerza Prokopa, który miałby tę zapiskę własnoręcznie położyć, czemu autor byłby skłonny uwierzyć, ale co więcej, jest to zapiska znacznie póź-

¹⁾ Jak to autor co do pracy Maleczyńskiego słusznie zaznacza na str. 329, w przyp. 4 i na str. 335, w przyp. 3.

niejsza aniżeli sam dokument, pochodzi niewątpliwie z końca XIV lub z XV w., niema zatem z czynnością kancelaryjną nic wspólnego, jako najprawdopodobniej kontrolna zapiska archiwalna. Odpaść też musi przytoczony przez K. Maleczyńskiego przykład własnoręcznego rzekomo wpisania przez kanclerza Stefana dwóch pierwszych liter swego imienia w formule *Datum per manus* w dokumencie Odonicza dla Johannitów z r. 1237, gdyż, jak to słusznie stwierdził prof. Kętrzyński na podstawie autopsji, barwa atramentu roli żadnej tu nie odgrywa, ileż w całym dokumencie zmienia on co chwila swój kolor, paleograficznie zaś niczem te litery nie różnią się od pisma tekstu. Wynikałoby stąd, że przed połową w. XIV niema żadnych śladów takich notatek kancelaryjnych na dokumentach i wchodzi tu dopiero w rachubę odkryte przez prof. Kętrzyńskiego małe pieczętki sygnetowe, wyciskane pod zakładką dokumentów Kazimierza Wielkiego przez jego dwóch szefów kancelarji, Janusza Suchegowilka, kanclerza krakowskiego i Janka z Czarnkowa, podkanclerzego w latach 1364—70. Zarówno to odkrycie, jak i zbadanie kwestji stosunku tej sekretacji dokumentów do formuły *datum per manus*, jest znakomitą zasługą autora, a wyniki na tej podstawie oparte rzucają nowe światło nie tylko na system pracy kancelaryjnej, ale i na niejasne dotąd znaczenie formuły *datum per manus* w dokumencie polskim. Wedle tych badań pierwotne znaczenie formuły *datum per manus* pokrywa się ze znaczeniem, jakie ona posiada na Zachodzie: oznacza kontrolę i aprobatę czystopisu przez osobę, która w tej formule jest wymieniona. Wynik ten doniosłego znaczenia aprobujemy w całej rozciągłości.

Bardzo ciekawe jest także to, co autor mówi o dalszej ewolucji znaczenia formuły *datum per manus* oraz o jej stosunku do formuły *ad relationem*. Prof. K. już dawniej zajmował się tą ostatnią formułą w specjalnej pracy, jest niewątpliwie najlepszym u nas tej sprawy znawcą, ustępy też poświęcone jej w tym rozdziale, oparte na nowych studjach, należą do najcelniejszych w książce; nie zajmuję się tu tą kwestją ze względu na późne występowanie formuły *ad relacionem* w dyplomatyce polskiej, wychodzące już poza ramy niniejszych zainteresowań. Na jedną tylko rzecz pragnę zwrócić uwagę, mianowicie na kwestję pojawienia się podpisu wystawcy na dokumencie polskim jako środka jego kontroli.

Prof. K. wyraża zdanie, że „podpis wystawcy zjawia się w dokumentach w każdym okresie, lubo są okresy, kiedy należy on do rzadkości“ (str. 379). Również i w Polsce — zdaniem autora — podpis (wystawcy) w wieku XII, XIII i XIV należy do niezwykłych wypadków. Wynikałoby z tego, że przed wiekiem XV znane są — choć bardzo wyjątkowo — podpisy wystawców na naszych dokumentach. Z tem zapatrywaniem autora trudno mi się zgodzić, gdyż w przywiedzionych na nie przykładach nie mogę dopatrzeć się potwierdzenia.

W dyplomatyce zachodniej podpis wystawcy wcześniej wyszedł z użycia: w papieskiej podpis papieża już w drugiej połowie XII w. traci charakter własnoręczny¹⁾; w kancelarii królewskiej, niemieckiej i francuskiej, podpis królewski (poza monogramem) przed połową XIV w. nie istnieje, a i potem jeszcze czas dłuższy jest zjawiskiem rzadkiem²⁾. W prywatnej dyplomatyce, niemieckiej przedewszystkiem, która wywierała wpływ na naszą dyplomatykę w omawianym okresie, również przed w. XIV nie ma śladu podpisów wystawców na dokumentach³⁾.

Przypatrzmy się, jak było u nas. Dokument kardynała Humbalda z r. 1146 dla Trzemeszna, podpisany własnoręcznie przez wystawcę, słusznie autor wyłącza z rozważań jako dokument obcy, należący do dyplomatyki kurjalnej. Podpisu Sulisława, kanonika katedry krakowskiej, na dokumencie szczyrzyckim z r. 1235 nie można też brać w rachubę, raz dlatego, że nie jest on własnym podpisem, ale, jak w formule wyraźnie zaznaczono, pomieszczony został ręką cudzą, a przedewszystkiem dlatego, że Sulisław nie jest wystawcą dokumentu (wyroku), lecz są nimi Salomon archidiakon sandomierski i Uger zw. Buzakarinus (ten właśnie, który podpisał kanonika Sulisława, dającego tu tylko swoją aprobatę⁴⁾). Czy podpisy ka-

¹⁾ Katterbach B. u. Peitz W. M., Die Unterschriften der Päpste und Kardinäle in den „Bullae maiores“ vom 11—14 Jhd. (Miscellanea F. Ehrle, Roma 1924).

²⁾ Erben W., Die Kaiser- u. Königsurkunden des Mittelalters in Deutschland, Frankreich u. Italien (Handb. d. mitt. u. neur. Gesch. hrgb. v. Below-Meinecke, Abt. V. T. I, str. 258. n. oraz Bouard A., Manuel de diplomatique, str. 321 i n.

³⁾ Redlich, Privatorkunden, str. 123/4; Bouard, o. c. str. 326 n.

⁴⁾ Podpis ten wykazuje rękę odmienną od ręki tekstu (na podstawie autopsji).

noników poznańskich na dekrecie elekcyjnym biskupa Pawła były własnoręczne, wiedzieć nie możemy, gdyż sam akt w oryginale się nie dochował, a pismo papieskie z r. 1211 o własnoręczności podpisów zgoła nie wspomina. W każdym razie podpisy członków kapituły krakowskiej na dokumencie biskupa krakowskiego Pełki z r. 1206 nie są autografami, lecz dokonane są wszystkie jedną ręką, jakkolwiek inną, aniżeli ręka tekstu¹⁾. Podobnie podpisy kanoników wrocławskich na dokumencie biskupa wrocławskiego Wawrzyńca z r. 1210 własnoręczne nie są²⁾. A już podpisów samych wystawców-biskupów nie ma w tych dwóch ostatnich dokumentach śladu. Nie wchodzi tu w grę, jako nienależące do wystawców, przytoczone przez autora pseudo-podpisy różnych osób (nie wystawców) na kilku dokumentach książących z pierwszej połowy w. XIII, gdyż, o ile dają się sprawdzić w dochoowanych oryginałach, nie są w żadnym wypadku podpisami własnoręcznymi³⁾. Dokumenty notarialne z własnoręcznymi podpisami notariuszy trzeba tu także wyłączyć z rozważań ze względu na tę specyficzną formę dokumentu, importowanego zresztą z zagranicy. Tak tedy z wieku XII, XIII i XIV nie można przytoczyć ani jednego przykładu własnoręcznego podpisu, który przeto nie należy nawet „do niezwykłych wypadków“, jak określa autor. Pierwsze ślady własnoręcznych podpisów u nas dają się stwierdzić dopiero w początkach wieku XV i przytoczony przez autora przykład z r. 1407 własnoręcznego podpisania „konfederacji“ kanoników poznańskich przeciw grabieżcom dóbr kapitulnych przez całą kapitułę byłby bodaj pierwszym znanym w dyplomatyce naszej średniowiecznej takim wypadkiem w zakresie dyplomatyki prywatnej.

Natomiast podpisy na dokumentach królewskich dadzą jeszcze czekać na siebie znacznie dłużej. Wedle prof. K. podpis

¹⁾ Mon. Pol. Palaeogr. nr. XXXVI. Nie musi to być ręka jednego z kanoników, jak przypuszcza autor, ale najprawdopodobniej pisarza kapitulnego lub przygodnego. Conajwyżej litery E w Ego mogą być własnoręczne.

²⁾ Tamże, nr XLVII.

³⁾ Tak w dok. Konrada ks. mazowieckiego dla Zakonu z r. 1230 (KMaz. I. 296). Inne przytoczone przez autora dokumenty znane są jedynie z kopij, gdzie oczywiście momentu własnoręczności stwierdzić nie można. Tak się ma rzecz np. z dokumentem Odonicza z r. 1231, w którym jednak słowa „subscriptionis nostre chirographo“ trudno brać dosłownie, jak słusznie autor podnosi.

królewski zjawia się na naszych dokumentach już za czasów Władysława Warneńczyka, poczem znowu znika na pół wieku. To spostrzeżenie autora wymaga jednak pewnego zastrzeżenia, w tym mianowicie kierunku, że wszystkie dokumenty Władysława Warneńczyka z podpisami własnoręcznymi wydane zostały na Węgrzech¹⁾, pochodzą więc z kancelarji węgierskiej, gdzie istotnie, jak stwierdzają nowsze badania, król ten po raz pierwszy podpisuje się własnoręcznie na dokumentach²⁾. Ale inowacji tej nie można zapisywać na dobro kancelarji polskiej, która niemal do końca w. XV nie zna jeszcze podpisu własnoręcznego wystawcy na dokumentach monarszych. Z czasów długoletniego panowania Kazimierza Jagiellończyka nie znamy ani jednego dokumentu z podpisem tego króla, chyba że podpisywał on swoje listy (czego sprawdzić nie mogłem), podobnie jak to czynił Jan Olbracht³⁾, którego podpisy występują już nawet i na dokumentach⁴⁾. Od Aleksandra podpisują się królowie polscy już normalnie pod tekstem, aktu po lewej jego stronie⁵⁾.

Ostatni (IX) rozdział w I tomie „Zarysu“ poświęcił autor księgom kancelaryjnym oraz rejestracji dokumentów. Pierwsze ślady stosowania systemu rejestracji na ziemiach polskich wykrywa już w pierwszej połowie w. XIV, wskazując na wzmianki o prowadzeniu rejestracji dokumentów przez kolektorów świętopietrza w latach 1318—1321⁶⁾, i przypuszcza-

¹⁾ Znany mi jest dokument króla Władysława z 22. IX. 1444 dla Michała Dybacza z Wyganowic, datowany z obozu pod Orsową (Bibl. Czart. dok. nr 468), na którym z lewej strony pod tekstem widnieje niewątpliwie własnoręczny podpis króla: *W. rex m. p.* I ten dokument jest jednak niewątpliwie produktem kancelarji węgierskiej a nie polskiej.

²⁾ Szentpétery, o. c. str. 178.

³⁾ List tego króla do brata Aleksandra, datowany w Poznaniu 13. XI 1493 z podpisem: *Joannes Albertus rex Poloniae etc. manu propria subscripsit* (Arch. Sang. II, 200).

⁴⁾ Podobiznę podpisu tego króla z dokumentu z r. 1496 ob. u Jabłońskiego K., Podpisy i wzory (Lwów 1840), tabl. I. Podpisany d. 5. XII. 1492 przez tegoż króla traktat z bratem Władysławem w Budzie sporządzony został także wedle wzoru kancelarji węgierskiej.

⁵⁾ Znamy już szereg dokumentów Aleksandra normalnie podpisanych. Wspomniany przez autora za Maurerem rzekomy podpis Aleksandra, umieszczony nad tekstem, jest może zwyczajną w listach ówczesnych intyulacją, pisaną nad tekstem, oczywiście nie własnoręcznie.

⁶⁾ Gabrjel de Fabriano, tytułujący się „nuncjuszem apostolskim“ w r. 1318, o którym wspomina autor, że używał ksiąg rejestracyjnych, nie

jąc, że działalność kolektorji na ziemiach polskich „przyczyniła się do przeszczepienia do nas używania ksiąg kancelaryjnych“ (str. 403). Na uogólnienie tego poglądu trudno się zgodzić i conajwyżej możnaby przypuścić pewien wpływ instytucji kolektorskiej na kancelarje duchowne ze względu na to, że kolektorami bywali także nasi biskupi. Niestety jednak z w. XIV nie dochowały się żadne księgi kancelaryjne duchowne i conajwyżej mamy z poł. XIV w. ślady przechowywania w archiwum katedry wrocławskiej odpisów (transcripta) dokumentów wystawianych przez tamtejszych biskupów¹⁾. Czy były to odpisy dokonane w księgach, czy też raczej na luźnych kartach, tego napewno nie wiemy; w każdym razie czy nie przedczesnym jest wniosek, że nasze wielkie instytucje duchowne (katedry) posiadały już w wieku XIV (i to może już w pierwszej jego połowie) księgi rejestracyjne dokumentów? Nie można tu powoływać się na istnienie już od r. 1300 ksiąg ławniczych krakowskich lub na ślady prowadzenia już w r. 1322 terminarza spraw sądowych w sądzie ziemskim krakowskim, gdyż księgi te, służące celom praktyki sądowej, nie miały nic wspólnego z systemem rejestracji kancelaryjnej wystawców dokumentów. Jeśli jednak ten system istotnie zaszczerpiony został w kancelarjach duchownych polskich już w wieku XIV, (o czem jednak dla braku dochowanych ksiąg niema pewności), to sądzę, że dokonać się to mogło nie tyle za pośrednictwem kolektorji papieskich, ile raczej za wzorem i wpływem notarjuszy publicznych, którzy — jak wiadomo — prowadzili księgi inbreviatur i znali oczywiście z praktyki zachodniej system rejestracji dokumentów.

Jeśli zaś chodzi o kancelarję królewską, to również niema w ciągu XIV w. ani jednej pewnej wskazówki prowadzenia tam ksiąg rejestracyjnych. Ślady ich występują dopiero od

był nuncjuszem w znaczeniu późniejszym, ale zwyczajnym kolektorem świętopietrza (ob. Gromnicki T., Świętopietrze w Polsce, str. 165 n.).

¹⁾ Nie należą tu przytoczone przez autora przykłady składania przez biskupa poznańskiego Andrzeja swoich transumptów obcych dokumentów w r. 1298 w archiwum kapituły pozn.; wszak czynił to nie w interesie i w celach swoich jako wystawca (co stanowi tu moment istotny), ale w interesie i na prośbę odbiorców, pragnących widocznie mieć odpisy swych dokumentów w bezpiecznym schronieniu archiwum kapituły poznańskiej (ob. wyżej na str. 12).

pocz. w. XV, autor jednak mniema, że początków ksiąg kancelaryjnych należy się doszukiwać już w czasach Kazimierza Wielkiego, a nawet stara się określić przypuszczalnie czas, w którym te księgi mogły być wprowadzone do kancelarii (str. 414). Miałoby się to dokonać w latach 1356—1370 w związku z objęciem kancelarii koronnej przez Janusza Suchegowilka i jego towarzyszy (Janko z Czarnkowa), którzy, jak wiadomo, wprowadzili do tej kancelarii zwyczaj sekretacji czystopisów za pomocą pieczętek. Te jednak, na rozumowaniu jedynie oparte, wnioski autora o czasie powstania ksiąg rejestracyjnych Metryki koronnej już za Kazimierza W. nie znajdują niestety poparcia w samych dokumentach oryginalnych. Prof. K., opracowując specjalnie kancelarię tego króla, miał w swych rękach z górą trzysta oryginalnych jego dokumentów, a jednak nie spotkał na nich śladów rejestracji w formie zwyczajnej noty: R^m lub $R^{la 1}$), która zjawia się zawsze w związku z rejestracją, jak np. na współczesnych dokumentach kancelarii węgierskiej, gdzie księgi rejestracyjne były w użyciu już od r. 1340²⁾). Nasuwa się przeto możliwość przeszczerzenia tej instytucji do Polski z Węgier dopiero za rządów Ludwika Wielkiego. Autor jednak uważa ten okres za nieprawdopodobny dla powstania rejestracji, stwierdzając upadek naszej kancelarii królewskiej w czasach Ludwika i Elżbiety, tak pod względem ilościowym jak i jakościowym pracy. Sądzę jednak, że samo obniżenie sprawności i wydajności pracy kancelaryjnej, jakie daje się zauważyć istotnie po śmierci Kazimierza Wielkiego, nie przesądza możliwości wprowadzenia za rządów Ludwika urzędów, wypróbowanych już oddawna w kancelarii węgierskiej. Oczywiście rzecz wymaga bliższego zbadania oryginałów z czasu po r. 1370, a zanim się to stanie, kwestję genezy Metryki koronnej, pomimo cennych spostrzeżeń autora, trzeba uważać nadal za otwartą.

¹⁾ Stwierdza to sam wyraźnie na str. 410, w przyp. 3. Słusznie też przechodzi autor do porządku nad jedynym pozornym śladem takiej notatki w formie Rt na zakładce dokumentu Kazimierza W. z r. 1342, jest bowiem rzeczą nie do pomyślenia, by rejestracja, gdyby istniała w czasach kazimierzowskich, pozostawiła na setki oryginałów tylko ten jeden jedyny ślad po sobie.

²⁾ Nie od r. 1331, jak podaje autor na str. 411, w przyp. 2. Ob. Szentpétery, l. c. str. 182.

Natomiast znakomicie przedstawił prof. K., częściowo w oparciu o dotychczasową literaturę (Nowicki, Wolff), a częściowo na podstawie własnych badań, system rejestracji w Metryce koronnej i mazowieckiej w wieku XV, z którego posiadamy już dochowane księgi rejestracyjne, kreśląc szczegółowo charakter tych ksiąg, a dalej podstawy, sposób i kontrolę dokonywanych w nich wpisów oraz stanowisko prawne ksiąg.

Jeśli Metryka (koronna i mazowiecka) pozostaje z dokumentem w najściślejszym związku, jemu rzecz można jedynie służyć i z tego tytułu zasługiwała na obszernie omówienie w „Zarysie nauki o dokumencie“, to inne księgi, jak księgi sądowe, miejskie, kościelne, mają tylko pośredni związek z dokumentem, o tyle jedynie, o ile dokonywano w nich wpisy dokumentów, tak że zajmowanie się temi księgami, ich genezą, sposobem prowadzenia, a zwłaszcza metodą publikowania, w zasadzie nie wchodzi w zakres dyplomatyki i mogło być w „Zarysie“ bez szkody dla książki pominięte, a conajwyżej ograniczone do kwestyj, dotyczących dokumentu sądowego oraz wpisów dokumentowych, tembardziej, że rzeczy te zostały niedawno obszernie omówione przez prof. Kutrzebę w „Historji źródeł dawnego prawa polskiego“, na której też autor w przeważnej części swe wywody tu oparł.

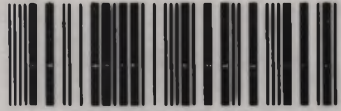
Dobiegliśmy do końca lektury tej pięknej książki, czyniąc na jej marginesie przydługie może i zbyt szczegółowe uwagi. Trzeba jednak raz jeszcze podkreślić, że rozważania te nie wyczerpują całej bogatej treści dzieła prof. K., lecz przeważnie ograniczają się do początkowych stadjów dokumentu, względnie do kwestji genezy pewnych z dokumentem związanych urzędzeń; do rozprawiania na temat stadjów późniejszych, z w. XIV i XV, nie czuję się dostatecznie przygotowanym. Chciałbym tem wyznaniem stwierdzić i podkreślić podziw dla szerokiej skali wiedzy i zainteresowań autora, dla jego mrówczej pracowitości a zarazem dla zdolności syntetycznego ujęcia tak zawiłych nieraz i rozległych problemów, w wyniku czego powstało to dzieło, zdumiewające swym rozmiarem i obfitością cennego plonu. Podniesione w tej ocenie wątpliwości i zaznaczone różnice moich poglądów na poszczególne, nieraz podrzędnej wartości zagadnienia, nie są zdolne zachwiać podstawami tej niepospolitej książki, która pozostanie nietylko niezbędnym podręczni-

kiem dla studjującej historję młodzieży oraz doskonałym przewodnikiem dla każdego, kto zamierzy poświęcić się badaniom naukowym w zakresie średniowiecza, lecz także będzie stanowić mocny fundament dla dalszej rozbudowy gmachu polskiej dyplomatyki przez specjalnych badaczy, których krąg, dzięki zainteresowaniu, jakie niewątpliwie wzbudzi ta osobliwa książka, w przyszłości — miejmy nadzieję — znacznie się powiększy. Z niecierpliwością też i upragnieniem oczekiwać będziemy II-go tomu dzieła, wyrażając życzenie, by pojawić się mógł jaknajrychlej.



058560
Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 330478



000-330478-00-0